

ZARANIE ŚLĄSKIE

KWARTALNIK



ROK VI

ZESZYT 3

Drzeworyt, umieszczony na pierwszej stronie okładki, przedstawiający tańczącego Ondraszka, miał artysta śląski Stanisław Kuglin. Drzeworyt ten wzięty jest z książki Gustawa Morcinka p. t. „Ondraszkowe ostatki“, wydanej w nakładzie Kuglinowej Biblioteki Studwudziestu jako Liber sextus. Kliszę ofiarował dla „Zarania Śląskiego“ p. Jan Kuglin, dyrektor Drukarni Rolniczej w Poznaniu.

SPIS TREŚCI:

	Str.
1. <i>Ludwik Łakomy</i> : Zagadnienia regionalne Śląska	105
2. <i>Ks. Józef Londzin</i> : Piśmiennictwo polskie na Śląsku Cieszyńskim , .	116
3. <i>Paweł Musioł</i> : Literatura śląsko-polska XVII wieku	122
4. <i>Dr. Jan Wytrzens</i> : Życiorys proboszcza L. Jana Szersznika, cz. I. .	131
5. <i>Gustaw Morcinek</i> . Zalew (Fragment)	139
6. <i>Ludwik Brożek</i> . Jeszcze o A. W. Maciejowskim	143
7. Pamiętnik gazdy Jury Gajdzicy z Cisownicy	146
8. <i>Hanka Kłosińska</i> : Sygnał czasu (Wiersz)	153
9. Recenzje	154
10. Materiały ludoznawcze	158
11. Pieśni śląskie	165

Redakcją kieruje Komitet:

Wacław Bandura, Paweł Bocek, Ludwik Brożek, Franciszek Czapla, Jerzy Hady-
na, Rudolf Kubalok, Gustaw Morcinek, Paweł Musioł, Franciszek Popiołek, Julian
Przyboś, Stanisław Sowa, Jerzy Szczurek.

Prenumerata wynosi rocznie 10 zł wraz z przesyłką pocztową, w Czechosłowacji 40 Kcz.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: CIESZYN, UL. STALMACHA 14.

P. K. O. Warszawa 180.524. — P. U. C. Praga 30.693.

Pojedyncze egzemplarze zamawiać można: w księgarni L. Fischera i w Księgarni Katolickiej w Ka-
towicach, w księgarniach „Dziedzictwa“ i „Kresy“ w Cieszynie, oraz w księgarni Macierzy Szkolnej
w Czeskim Cieszynie.

Manuskryptów nie zwraca się.

Wydawca: Towarzystwo Ludoznawcze w Cieszynie.

Redaktor odpowiedzialny: **Jerzy Szczurek** w Cieszynie, ul. Bielska 36.

Druk wykonany czcionkami Drukarni »Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra« w Cieszynie.

ZARANIE ŚLĄSKIE

ROCZNIK VI.

W CIESZYNIE, 30 WRZEŚNIA 1930.

ZESZYT 3.

Ludwik Łakomy.

Zagadnienia regionalne Śląska.

I. Wstęp.

W swem przepięknym studjum literacko-społecznym p. t. „*Snobizm i Postęp*“ Stefan Żeromski, słusznie nazwany „ostatnim walejdotą“, pyta: „... czy zajęło artysty uwagę dzieło najżywsze z żywych — Śląsk. Zajmował uwagę całej kuli ziemskiej, doprowadził do stanu wrzenia zimne umysły dyplomatów, wielkorządów, panów świata, stał się kością niezgody, o którą furja wojny mogła się rozpętać, lecz artyści polskiego nie wzruszył. To siedlisko nowoczesności, istny obraz futurystyczny, ta retorta kolosalna, gdzie się ma wygotować wielkie życie potężnej Polski, gdzie ma się w żelazie maszyn narodzić jej wola i wiekuista niezniszczalność jej bytu, nie została zauważona przez artystę polskiego. Gdy ten strzep piastowskiej dziedziny wytargany został zębami i pazurami śląskich powstańców, oddarty przez sumienie świata z mocy ostatniego z rozbiorców Polski, angielskiego ministra, gdy dokonał się ów niezapomniany skok narodu najbardziej skrzywdzonego, w sedno potęgi, — to dzieło boskie nie obudziło w artyźmie polskim ani jednego westchnienia, równorzędnego mu co do wielkości siły.“ Nietylko w dziedzinie artystycznej, w każdej może dziedzinie, Śląsk można porównać do roli „obiecującego młodzieńca“, cieszącego się dobrą opinią, po którym wiele wszyscy się spodziewają. Uważam, że za wcześnie jest mówić „o tej ekspansji śląskiej, jaka po-

prostu po wiekach niewoli i „przymusowego“ spoczynku w zdwojonem tempie chce sobie powetować i dorównać reszcie Polski na polu artystyczno-literackiem, — czy znów w wydobywaniu bogactw rodzimych, może prymitywnych, ale ważkich, na szali ogólnej kultury artystycznej w Polsce“.

Jedynym oryginalnym talentem (Śląska), który może przerósć nawet Reymonta, jest Gustaw Morcinek! — jego „*Serce za tamą*“ i obrazki, zamieszczane w „*Zaraniu Śląskiem*“, znamionują szczerą artystyczną, odczucie duszy ludu do głębi, a przytem brak snobizmu regionalnego, mdłej pretensjonalności i naśladownictwa prymitywu. Przepraszając za dygresję, przechodzę do właściwego tematu.

W roczniku IV-tym „*Nauki Polskiej*“ prof. Bujak stwierdza, iż „charakterystyczną cechą kultury polskiej w kilku ostatnich dziesięcioleciach było, że tworzyli ją ludzie, pochodzący z warstw niezamożnych, często nawet ubogich. Ludzie ci nie dali się przytłoczyć i pochłonąć doszczętnie życiu codziennemu, zawodowemu i rodzinnemu, albo też pustemu, próżniaczemu życiu towarzyskiemu, potrafiwszy ocalić coś z siebie dla siebie, a przez to i dla przyszłych pokoleń, — znaleźli czas na oddawanie się wyższym i poważniejszym zamiłowaniom.“. Dalej mówi: „W zasadzie wszędzie i wszystko można badać, jak wszędzie wogóle można

się starać podnieść kulturę, podnieść siebie i otoczenie. Człowiek, naprawdę twórczy, stara się stworzyć sobie warunki do wykonania zamierzonych prac i prawie zawsze mu się to udaje, jeżeli tylko szczerze do tego dąży." Podaje przykłady, stwierdzające powstawanie i kontynuowanie badań w więzieniach, w zapadłych miścinach, w niewoli nieprzyjacielskiej, na najskromniejszych stanowiskach, nieraz o setki, a nawet o tysiące kilometrów od kolei i miasta uniwersyteckiego. „Oto — pisze — Mikołaj Kopernik wypracował swoją teorię zdala od ognisk ówczesnego ruchu naukowego, jako zakonnik w małej miścinie pruskiej, we Fromborgu, tudzież w Olsztynie, pełniąc uciążliwe obowiązki zarządcy dóbr biskupich. Karol Darwin nie szukał katedry uniwersyteckiej, ale wołał żyć w małym miasteczku, jako prywatny uczony, ubocznie pełniący obowiązki skromnego urzędnika samorządu powiatowego, bo to mu dawało możność większego skupienia się do pracy naukowej. Grzegorz Mendel, twórca podstaw teorii dziedziczności, był zakonnikiem i nauczycielem szkoły średniej w Bernie morawskim i tam w ogrodzie klasztornym przeprowadził, a w rocznikach miejscowego towarzystwa przyrodniczego ogłosił swe podstawowe doświadczenia nad mieszkańcami roślin. Jan Henryk Fabre, niezmierzony badacz obyczajów i instynktów owadów, był synem chłopca i po ukończeniu uniwersytetu musiał, aby żyć, zostać nauczycielem ludowym, a potem nauczycielem szkoły średniej w Avinionie we Francji i tu, wśród niesłychanych trudności, gromadził ze zdumiewającą wytrwałością olbrzymie materiały naukowe, ogłoszony w dziesięciu tomach „*Wspomnień entomologicznych*“, wydawanych od roku 1878. Tak ważne odkrycie archeologiczne, jak osady nawodne na jeziorze Zurychskim w Szwajcarii, zostało dokonane w roku 1855 przez miejscowego nauczyciela ludowego." Powyższe prof. Bujak zaopatruje

uwagą: „Najdonioślejsze odkrycia i prace można czynić w zaciszu życia prowincjonalnego.“

Przechodząc do pracowników polskich, na pierwszym miejscu stawia udział Polaków we wszechstronnem badaniu naukowem Syberji. „Byli to zesłańcy polityczni, których znaczna większość dopiero tam na Syberji uzupełniła swoje studia, albo nawet całkowicie do pracy badawczej się przysposobiła. Prawdziwie podziwiać trzeba ich zapał do badań i do podejmowania trudów, z niemi złączonych. Aleksander Czekanowski oraz Benedykt Dybowski, obaj skazani na katorgę za udział w powstaniu 1863 roku, obaj poważni już uczeni, z których pierwszy badał Syberję jako geograf, geolog, botanik i zoolog (zebrał około 9000 okazów flory, około 18.000 fauny i 10.000 minerałów), a drugi zbadał wszechstronnie Daurję i całą wschodnią Syberję aż do Kamczatki i Sachalinu, najbardziej jednak jezioro Bajkał i jego okolice. Czerski, jako 18-let. chłopak, dostał się do rot aresztanckich w Orenburgu, a potem pracował nad etnografią i geologią różnych części Syberji. Hartung, zbieracz zieleników i Witkowski, z organisty archeolog i kustosz muzeum w Irkucku, są przykładem, do czego można dojść, gdy się chce. Bronisław Piłsudski (brat marszałka), porwany z gimnazjum i rzucony aż na Sachalin, pracuje nad etnografią Ainów, a potem nad statystyką we Władywostoku. Wacław Sieroszewski, wywieziony ze szkoły kolejowej w Warszawie, w 20-tym roku życia na Syberję, spędza 12 lat koło Jakucka, gdzie wyrabia się na świetnego literata i zdobywa się na naukowy opis życia Jakutów.“ Musiałbym chyba przepisać całą pracę prof. Bujaka, by dać pojęcie o tych, co wśród najstraszniejszych dni ucisku byli umysłem i sercem niewolnej Polski. Na tem miejscu wspomnę o Stanisławie Karwowskim, nauczycielu gimnazjalnym w Głupczycach na Górnym Śląsku, który pod pseudonimem Wiktora

Sońskiego opracował 2-tomowe dzieło „Z przeszłości Śląska”. Ks. Michał Przywara długie lata zbiera „Słownik gwary górnośląskiej” i pisze „Gramatykę górnośląską”, jednocześnie opracowując cały szereg legend, przysłów i pieśni ludowych Śląska Opolskiego. *) Rejent A. Cinciała dał nam cenny zbiór pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna, słownik dialektyczny i zbiór przysłów. Jak podaje prof. J. St. Bystron, „cały szereg włościan i górników górnośląskich zebrał wielką ilość pieśni ludowych, który to zbiór, jako depozyt Ł. Walisa, czeka w Akademii Umiejętności na wydanie, na co ze wszech miar zasługuje”. J. Rogerowi zawdzięczamy wyborny, wielki zbiór pieśni ludu górnośląskiego, wydany niespełna siedemdziesiąt lat temu.

J. Nowak w ostatnich latach opracował niezrównaną monografię powiatu i miasta Tarnowskich Gór; ks. proboszcz Knosała monografię parafii Radzionkowskiej, osady w powiecie tarnogórskim. Chyba nie trzeba wspominać, bo każdy ma w sercu i pamięci zasługi budzicieli Śląska: Karola Miarki i Pawła Stalmacha. Ci wszyscy szarzy pracownicy naukowcy, o których wspominałem i nie wspominałem, byli to ludzie pod każdym względem wyjątkowi, ludzie silnej woli, którzy wyrosli ponad szary tłum, zdobywając się, nieraz z zaparciem siebie i swych codziennych potrzeb, na twórczy trud. Byli oni, ci strażnicy narodowej kultury, rozmaicie traktowani przez ciasne zazwyczaj otoczenie, to z podziwem i uznaniem, to z zazdrością i zawiścią. Zaczynali od małych i prostych zadań, od opisów poszczególnych faktów na ściśle określonym obszarze, ale opisów możliwie wzorowych,

potem dopiero brali się do większych zagadnień.

Amatorzy, chcący pracować naukowo, winni zgóry wiedzieć, co chcą zrobić, aby się do tego odpowiednio przygotować. Najłatwiejszym sposobem takiej pracy jest zbieranie materiałów i mnożenie faktów, a jedyną granicą są siły umysłowe, w małej części środki materialne. Podstawowymi organizacjami dla badań regionalnych winny być: Muzeum Śląskie, Towarzystwo Ludoznawcze, biblioteki, w niedalekiej już może przyszłości uniwersytet śląski, którego rolę pełni zastępczo Uniwersytet Jagielloński oraz miejscowe towarzystwa zawodowe i kulturalno-oświatowe. Nasamprzód zajmijmy się rodzajem pracowników.

2. Pracownicy.

W miastach przedewszystkiem powołani są do badań regionalnych nauczyciele szkół średnich, jako ludzie, najlepiej może rozumiejący potrzebę i doniosłość tych badań, zmierzających do poznania i naukowego wyzyskania swej okolicy. W tym celu znakomicie daje się wyzyskać młodzież szkolna, jako żywioł bardzo wrażliwy, a przy odpowiednim zainteresowaniu oddający się pracy naukowej z wielkim zapałem.

Nawiasem dodam, że utarło się u nas zupełnie fałszywe pojęcie regionalizmu; pod tą nazwą większość rozumie ludoznawstwo. Tymczasem regionalizm zmierza nie tylko do poznania danej okolicy i naukowego wyzyskania jej materiałów historyczno-opisowych, ale przedewszystkiem do poznania przyrody danego obszaru i warunków bytowania jej mieszkańców. A więc nauczyciel danego przedmiotu winien wyklądać go jasno i dokładnie na przykładach twórczych osobistości i grup, nawiązując do materiałów i braków w dziedzinie danej okolicy. Młodzież winna zdawać sobie sprawę, że nauka jest ustawicznie zmieniającym

*) Prace ś. p. ks. M. Przywary posiada w depozycie ks. proboszcz J. Niedziela z Bielszowic. Należy żałować, że Muzeum Śląskie nie wydało powyższych prac drukiem, aby szersze warstwy mogły zapoznać się z tym pomnikiem mrówczej pracy.

się wytworem wysiłków umysłu ludzkiego, zmierzających do poznania i opanowania rzeczywistości. I dlatego materiały, zdobywane przez uczniów, powinny być przez nauczyciela nie tylko klasyfikowane; winien on wykrywać znamiona ich i związki w ogólnej kulturze narodu i świata. Dzięki takiemu ujęciu badań regionalnych obudzi się w młodzieży mniej lub więcej oryginalne dążności poznawcze. „Co będzie z młodzieży — woła słynny socjolog prof. Znaniecki —, której umysł w najlepszym jej wieku, gdy właśnie samorzutność umysłowa najbardziej się rozwijać powinna, konsekwentnie i bez wytchnienia łączone są w ramy gotowych formuł?“ Do badań regionalnych może się zaprząć cała inteligencja, a więc: księża, lekarze, inżynierowie, prawnicy i urzędnicy, akademicy i t. p. Zwłaszcza w etnografii, jak mówi prof. J. St. Bystron: „Zbieracz materiałów może być mało wykształcony, musi być natomiast bezwzględnie człowiekiem bystrym i spostrzegawczym — musi umieć poznać się na tem, co jest istotnie godne zapisania, co zaś przypadkowe i drugorzędne; winien odróżnić rzeczy nowe od rzeczy starych, drogą tradycji pokoleniami przekazywanych.“

„Księża są niewątpliwie najlepiej teoretycznie przygotowanymi pracownikami — pisze wspomniany — (zwłaszcza w dziedzinie humanistycznej)... Proboszcz z natury rzeczy ma tak bliską styczność z ludem, że nadaje się świetnie na ludoznawcę; zauważyć jedynie należy, że są wierzenia, czy zwyczaje, z którymi lud się kryje przed księdzem. Nauczyciele ludowi mają swą piękną kartę w ludoznawstwie polskim.“ Akademicy, zwłaszcza w czasie przerwy wakacyjnej, mogą dużo zdziałać na polu badań regionalnych. Autorowi znanym jest fakt, gdzie kilku słuchaczy Akademii Górniczej z Krakowa od dwu lat zbiera podczas praktyki legendy oraz pieśni górnicze. Prof. Bystron podaje dalej, że „włóscianie okazują nie-

jednokrotnie zrozumienie dla prac ludoznawczych... Prawnicy, urzędnicy administracyjni, również ciągle pozostający z powiatem w styczności, mieliby niewątpliwie dobrą sposobność do wyzyskania swego stanowiska dla celów nauki... Zwłaszcza do badania medycyny ludowej oczekujemy koniecznie współpracownictwa lekarzy...“ Jak widzimy, wszyscy, do słownie wszyscy, mogą sięjąć badań regionalnych. Granicą — powtarzam — będzie tylko czas, a motorem chęci i dobra wola w wytrwaniu. A więc do pracy!

3. Badania historyczne.

Liczba kwestyj w dziedzinie historii Śląska jest tak wieloraka i różnorodna, że wymaga czempredziej krytycznego ich opracowania. Prócz kilku popularnych podręczników, bardzo niewielu monografij, niema dotychczas nic. Prof. K. Tymieniecki w artykule p. t. „Histografia polska wobec Śląska“¹⁾ i rozdz. 8, tomie V „Nauki Polskiej“ pisze: „Nie ulega wątpliwości, że nauka polska zaniedbała zupełnie sprawy Śląska. Zależność nasza od Niemców w historjografii Śląska występuje z całą siłą.... Systematycznie i planowo prowadzonej pracy uczonych niemieckich przedstawić można ze strony polskiej nieliczne tylko próby samodzielnego ujęcia poszczególnych zagadnień, najczęściej wybieranych zupełnie dorywczo i prawie zawsze odnoszących się do najstarszego okresu dziejów tego kraju. Dopiero przed samą wojną, obok prac specjalnych, tyjących się zwłaszcza Śląska w dobie, poprzedzającej kolonizację niemiecką, także w całym szeregu prac ogólniejszych z epoki średniowiecznej dotykano spraw Śląska, dochodząc niejednokrotnie do wyników, które nie dały się pogodzić z utartymi poglądami historyków wrocławskich. Ze strony niemieckiej zaznaczano już wówczas, że z nauką pol-

¹⁾ „Kurjer Poznański“ z 16 lipca 1922 r.

ską, która zaczyna wkraczać na teren Śląska, wypadnie się obecnie liczyć. Historycy niemieccy, zachowując nawet zupełną obiektywność w swych badaniach, widzieli dzieje tego kraju z punktu widzenia niemieckiego. Natomiast objawy, które świadczyły o istniejącej wciąż łączności z macierzystą Polską, uchodziły przeważnie ich uwagi. Historia Śląska była więc dla nich historią germanizacji kraju i pod tym względem historjografia wrocławska, mimo swego niewątpliwie wysokiego poziomu naukowego, nie różni się zasadniczo od historjografii całego niemieckiego wschodu. W ten sposób jednostronnie traktowane dzieje Śląska mogą być jedynie zrozumiałe przez Niemca, nigdy zaś przez Polaka. Dla stworzenia koniecznego, ze względów także ściśle naukowych, równoważnika, przez uwydatnienie związków, łączących Śląsk z Polską, niezbędna jest głębsza znajomość dziejów Polski, która dziś może wyjść przedewszystkiem, jeżeli nie jedynie, z historjografii polskiej. Zwłaszcza dzieje społeczeństwa na Śląsku i w Polsce państwowej wykażą niewątpliwie wiele punktów stycznych, odbijających się dziś jeszcze w psychologii ludności, tak silnie wyróżniającej ją od naszych sąsiadów wschodnich.

Wśród całej powodzi nierozświeconych dotąd kwestyj kilka z nich wysuwa się na czoło. Oto przedewszystkiem kwestja podziału Śląska, następnie okres współczesny panowania ostatnich Piastów w Polsce i ich stosunek do tej „*terra irredenta*“, oraz okres panowania Władysława Warneńczyka i jego poglądy, tudzież zabiegi o przyłączenie Śląska do Macierzy. Ciekawem będzie również zbadanie oddziaływania czeskiego husytyzmu na umysły Ślązaków, ich rola (jak n. p. Mikołaja Sierżbina z Żyglina, późniejszego burgrabiego na grodzie Będzińskim), oraz zabiegi, prowadzące do odzyskania Śląska i t. p. Z dziedziny ekonomiczno-historycznej można opracować historję gór-

nictwa, rozwój stosunków agrarnych oraz łączność gospodarczą Śląska z resztą Polski. Jako laikowi, trudno mi podać chociażby najważniejsze zagadnienia. Przechodzę do czasów najnowszych. Niema dotąd gruntownie ujętej i popartej statystyką monografji z okresu „*kulturkampf*“, niema również, prócz drobnych, popularnych zresztą, przyczynków historii zmagających z niemiecką towarzysztw i związków religijnych, zawodowych, kulturalno-oświatowych, niema nawet opracowania okresu walk politycznych z Niemcami, Czechami w parlamencie i sejmie czy to austriackim, czy niemieckim. Na polu historjografji wojskowej zanotować możemy jedynie cztery nazwiska²⁾, które w miarę sił i posiadanych materiałów starały się opracować historję powstań śląskich i pułku ziemi Cieszyńskiej. Brak dotąd monografji trzeciego powstania śląskiego... Lecz aby móc opracować podobne monografie, „nie wystarczy być samym tylko historykiem, ale trzeba ponadto posiadać gruntowne wykształcenie specjalne, zależnie od działu, w jakim się zamierza pracować“.³⁾

4. Ludoznawstwo.

„Naczelnym postulatem organizacji pracy naukowej w zakresie ludoznawstwa — jak pisze prof. Bystroń — jest najściślej współpracownictwo zawodowych etnografów-teoretyków i etnografów-krajoznawców. Nacisk kłaść należy na badania etnograficzne w najbliższej okolicy. Badania takie mogą dotyczyć całości powiatu czy ziemi, lub też tylko jednej wsi, mogą objąć całe życie ludu, czy też jedynie niektóre jego strony — zawsze będą one bardzo pożyteczne i będą cennym

²⁾ J. Szczurek, J. Ludyga-Laskowski, A. Benisz, W. Borth.

³⁾ J. Rutkowski: O zadaniach pracy naukowej na prowincji w zakresie historii. „Nauka Polska“ t. IV.

nabytkiem nauki, oczywiście, o ile będą umiętne i wierne. Obok zbierania materiałów, piśmiennie należy wziąć pod uwagę również i zbieranie okazów muzealnych.“⁴⁾

„...Chyba wszyscy pojęli — pisze Jan Karłowicz, — że płody twórczości ludowej są wielkiej wagi, że codziennie giną, że zatem zbierać je jak najprędzej i jak najpilniej należy.“ Lecz myli się E. Frankowski⁵⁾, że „opracowywać materiały zebrane mogą tylko ludzie wykwalifikowani, którzy są dokładnie obeznani z metodami analizy naukowej“. Nasze śląskie przykłady wskazują, że kwestje ludoznawcze opracowywali ludzie dobrej woli, baczni obserwatorzy, którzy najczęściej bez przygotowania naukowego, wykluczwszy „mędrca szkiełko i oko“, intuicyjnie odszukiwali rzeczy niezmiernie wagi. I ta intuicja, właściwa wszystkim twórcom i badaczom, pozwalala rozwiązać wiele zagadnień, mających swe źródło w ludoznawstwie. Chociaż trzeba stwierdzić, że „wiele zabiegów ludowych i zabobonów, które uważane są powszechnie za dzieła ciemnoty, za przeżytki niższej kultury ludzkości, zestawione i we właściwy sposób studjowane, uwidoczniają nam głębię intuicji ludowej, niejednokrotnie wyprzedzającej naukę ścisłą. Wiedza ludu, jego obrzędy, wierzenia i obyczaje stanowią o jego odrębności, są najdoskonalszą twierdzą, niezdobytą dla wroga. W niej bytuje część dla przodków, mądrość i doświadczenie myśli zbiorowej wszystkich pokoleń, co odeszły w inne życie, w niej, jak w skarbnicy, kryje się talizman nad talizmany: — miłość Ojczyzny, miłość ziemi rodzinnej“.⁶⁾ Owa to „wieść gminna“ sprawiła, iż mimo tyłowiekowego ucisku Śląsk zawsze myślał i czuł po pol-

sku. Ta „wieść gminna“ i — zwłaszcza na Śląsku Opolskim — wiara katolicka, ta „polska wiara“ — jak ją nazywa Żeromski — była ostoją i „arką przymierza między dawnymi i młodszy laty“.

„...Kędyś w zakątkach Polski, w starych skrzyniach kaszubskich, „trówałach śląskich“⁷⁾, na Chełmszczyźnie, w Podlasiu, we wsiach Litwy, Białorusi, Podola książka polska — to książka katolicka. Olbrzymią siłę ma w męczeńskim życiu narodu ta polska wiara. Co o tem mówić! Kto tego nie rozumie! Polska i ta wiara zrosnięte są, jak Lelum i Polelum, w tragedji. — „Przykuty do mnie za twą lewą rękę, tyś niewolnikiem mojej ręki prawej, ty cały jesteś moją ręką prawą: ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał...“ „Gdy jeden ma cisnąć toporem i odciąć ojca, powieszzonego za włosy, w drugim tak serce drży. Może kiedyś los rozerwie te łańcuchy i każdemu z tych braci da wolność. Dziś to (Polska i wiara katolicka) Lelum — Polelum.“⁸⁾

Ale, wracając do rzeczy, „praca na polu ludoznawstwa stanie się owocną wtedy, gdy będzie przeprowadzona planowo“. Krótkie a doraźne wskazówki znajdą amatorzy ludoznawstwa w kwestjonariuszu, zagadnienia którego dzielą się na dwa wielkie działy: kultury materialnej i kultury duchowej, opracowanym przez E. Frankowskiego i zamieszczonym w roczniku IV-tym „Nauki Polskiej“, dokąd odsyłam zainteresowanych. „Dział kultury materialnej obejmuje wszystkie wytwory rąk ludzkich, jak to: budynki, strój, sprzęty domowe, narzędzia gospodarcze, pokarmy, przedmioty, mające związek z obrzędami ludowymi, z lecznictwem, z muzyką i t. d.“⁹⁾ Materiały,

⁴⁾ J. St. Bystron: Ludoznawstwo na prowincji. „Nauka Polska“ t. IV.

⁵⁾ i ⁶⁾ E. Frankowski: Ludoznawstwo na wsi. „Nauka Polska“ t. IV.

⁷⁾ Przyp. autora.

⁸⁾ St. Żeromski: „Nawracanie Judasza“.

⁹⁾ i ¹⁰⁾ E. Frankowski: Ludoznawstwo na wsi. „Nauka Polska“ t. IV.

zamieszczane w „Zaraniu Śląkiem“ E. Świbówny z Brennej, najlepiej może są opracowane pod względem wymagań kwestjonariusza, czego nie można powiedzieć na przykład o innych, w których ujęcie tematu jest dość snobistyczne i nie odzwierciadla zadania, jakie sobie organ Śląskiego Towarzystwa Ludoznawczego wytknął: oddania i uchwycenia artyzmu w stylu ludowym. „Dział kultury duchowej obejmuje cały zakres wiedzy ludowej o widomym świecie otaczającym i o świecie zjawisk nadprzyrodzonych; zwyczaje, obrzędy i wierzenia, związane z życiem ludzkim od kołyski do grobu i poza grobem; wierzenia, zwyczaje, obrzędy, związane z rocznym cyklem pracy i literaturę ludową, jako to: podania, baśnie, powiastki, śpiewy, fraszki, przysłowia, wyrażenia miejscowe, zagadki; lecznictwo ludowe, śpiew, muzyka, taniec, gry i zabawy.“¹⁰⁾ Na tem polu zasłużonym pracownikiem na terenie Śląska jest czcigodny ks. proboszcz Grim z Istebnej, którego „Baśnie z Podbeskidzia Śląskiego“ są cennym dokumentem i przykładem artystycznego smaku oraz umiaru w opracowaniu oraz stosowaniu prymitywu góralskiego.

A co mówić o powieściach ludowych K. Miarki, który zwłaszcza w „Górze Klemensowej“ dał wzór literatury ludowej w całym tego słowa znaczeniu. Gorzej przedstawia się sprawa pieśni i melodii ludowych ostatniego zwłaszcza okresu. Jedynie pieśni ze zbioru Ł. Walisa są ideałem w tej dziedzinie. Do innych mógłbym zastosować słowa profesora muzykologii A. Chybińskiego: „zbieracze-amatorzy ograniczają się zazwyczaj do notowania melodii łatwych i znanych powszechnie, opuszczając prawie zawsze melodie trudniejsze, lub w szybkim tempie grane czy śpiewane, tak, że ich zbiory nie przynoszą nic nowego, ani też szczególnego i stąd też jako niekompletne nie posiadają większej wartości, bo brak im zwykle najbardziej interesujących ob-

jawów i okazów ludowej twórczości muzycznej.“¹¹⁾

To samo powiedziałbym o niektórych regionalnych sztukach scenicznych, gdzie często bezkrytycznie i nie opierając się na istotnych obrzędach i zwyczajach ludowych naśladuje się rzeczy znane, oklepane, nie z ludowego, śląskiego wychodzące łona. Prof. Bystrzeń stwierdza, że „przedsięwzięciem, które mogłoby zachęcić liczne rzesze ludzi dobrej woli do pracy nad ludoznawstwem, mogłyby być monografie ludoznawcze powiatów. — W Niemczech nieomal każdy powiat ma swój opis krajoznawczy (*Heimatskunde*), obejmujący część geograficzną, historyczną, statystyczną, gospodarczą, przyrodniczą, a także ludoznawczą; jak wielkie znaczenie mają te monografie, tak dla rozwoju nauki, jak również dla ożywienia zainteresowań dla najbliższej okolicy wśród mieszkańców powiatu, mówić chyba nie trzeba... Każdy powiat powinien mieć swą monografię, opracowaną przez siły miejscowe, wedle ogólnego planu, którego ułożenie należałoby pozostawić fachowym historykom, geografom, ekonomistom, przyrodnikom i ludoznawcom.“¹²⁾

Niezmiernie ważną dziedziną w naszym regionalizmie byłoby opracowanie naukowe zbioru tekstów śląskich; o metodach przeprowadzenia tegoż mówił na jubileuszu „Znicza“ niestrudzony geograf wyrazów — jak go określa Żeromski — „obiegający granice i sieciami osnuwający krańce nazw, niczem pracowity pająk, mający w sobie własną, wewnętrzną wiedzę o potrzebie takich, a nie innych zabiegów i takich, a nie innych kierunków swych mądrych nici i sieci“¹³⁾ — prof. Nitsch. Na podstawie długoletnich badań mógł powiedzieć, że „Śląsk bynajmniej

¹¹⁾ A. Chybiński: Organizacja pracy nad metodami ludowymi. „Lud“ t. I.

¹²⁾ J. St. Bystrzeń: Ludoznawstwo na prowincji. „Nauka Polska“ t. IV.

¹³⁾ St. Żeromski: „Snobizm i postęp“.

nie jest językowo jednolity, naodwrot, należy do prowincyj silnie zróżnicowanych.¹⁴⁾ Stawia jako zasadę: „tekst z każdej wsi, w górach nawet z każdej większej części rozległej wsi, a tylko, gdzie to zupełnie niemożliwe, to przynajmniej z każdej parafji, uważając, iż „przy energicznej pracy za rok możnaby dać teksty ze Śląska czechosłowackiego, za dwa lata z niemieckiego, za trzy lata z polskiego.“¹⁵⁾ Tak ujęte kwestje ludoznawcze, łącznie z materiałami z zakresu geologii, hydrografji naszych okolic, roślinności, archeologii przedhistorycznej i t. p. doprowadziłyby do opracowania artystycznej monografji Śląska, która — według Żeromskiego — „dałaby pierwszy może wzór książek do czytania dla wszystkich ludzi danej okolicy, oraz pierwszy przykład łączenia nauk w całość harmonijną.“¹⁶⁾ „Dziś rzeczy naukowe (o Śląsku) są rozszarpane, porozdzielane, niedostępne, jedne dla drugich obce i odrzucające się wyniosłością. Chcąc jakikolwiek szczegół znaleźć, trzeba wertować biblioteki, zdobywać niedostępne wydawnictwa, stać się badaczem. Nikt nie może być oświeconym człowiekiem, który po trudzie zawodowym czyta mądrą, pożyteczną i piękną książkę o swojej ziemi.“¹⁷⁾ Lecz wspólnym wysiłkiem stanie to dzieło zbożne, które winno być motorem życia każdego Ślązaka, a więc:

*„Czyńmy w swem kółku, co każe Duch Boży,
A całość sama się złoży...“*

Monografia o Śląsku, pięknym jak tylko on jeden, przepojona wonią lasów beskidzkich, monografia ziemi, pokrytej czarnem budowaniem sztolni węglowych, kominami hut i fabryk, tchnącej niezmiernym czarem tego cudu natury, iście futurystyczno-celowym tworem Stwórcy, po-

wtarzam — monografia taka winna ukazać się jak najprędzej. Praca powyższa stoi przed nami. Czy jej podołamy — przyszłość pokaże; w każdym razie winniśmy do wspólnej skarbnicy znieść to, w czemśmy wyrosli, powinniśmy „wejść w lud i stać się ludem“, mając wiecznie w pamięci słowa poety śląskiego Jana Łyska:

*„... Jak konarek suchy,
Którego liście wiatr stracił do błota,
Tak lud wygląda, jeżeli bań złota,
Co mu zdołała domowe ognisko,
Niedoceniona poszła w pośmiewisko,
Skarbem dla ludu jego pieśń dziewicza,
Pełna radości, wesela, tęsknoty...“*

5. Uniwersytet Śląski.

Odkładając do następnego numeru wskazówki z dziedziny nauk opisowo-przyrodniczych, technicznych oraz gospodarczych, pragnę na tem miejscu odpowiedzieć na ankietę dra Pietra¹⁸⁾. A więc praca naukowa na Śląsku jest nie tylko celowym i sensownym, ale może jedynym z najważniejszych już nie projektów, lecz koniecznych nakazów chwili. Możliwość jej urzeczywistnienia jest zawsze, o ile znajdą się ludzie, rozumiejący potrzebę udoskonalania się oraz kochający swą ziemię w myśl zasady: przez poznanie do ukochania. Kwestja powstania uniwersytetu oraz politechniki jest czynnikiem poprostu warunkującym dalszy rozwój i kulturalny i gospodarczy naszej dzielnicy, jednak obawiam się, że „godne i odpowiednie budynki dla wyższej uczelni, laboratorja i urządzenia wewnętrzne“ nie wystarczą. A uniwersytet jest koniecznie potrzebny, początkowo chociażby tylko wydział prawny i filozoficzny wraz ze studjum pedagogicznym; że tego nie trzeba udowadniać, zważywszy na znikomą ilość urzędników i profesorów szkół średnich — Ślązaków, każdy chyba zrozumie. Jednak dla obiektywnego sądu przy-

¹⁴⁾ i ¹⁵⁾ K. Nitsch: W sprawie naukowego zbioru tekstów śląskich. „Zaranie Śląskie“, tom V, zeszyt 4.

¹⁶⁾ i ¹⁷⁾ St. Żeromski: „Snobizm i postępek“.

¹⁸⁾ „Zaranie Śląskie“, tom V, zeszyt 4.

toczmy wyjątki z poszczególnych memoriałów naszych wyższych uczelni. Otóż w memoriale Politechniki Warszawskiej z 1920 r. czytamy: „Daje się dzisiaj odczuwać we wszystkich naszych uczelniach, zarówno uniwersytetach, jak i politechnikach, brak dostatecznej liczby sił profesorskich. Mnóstwo katedr, już istniejących, pozostaje dotychczas niezajętych z powodu braku odpowiednich kandydatów, a wiele katedr niezbędnych nie tworzy się z tego samego względu. Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa pomocniczych sił naukowych. Liczba docentur we wszystkich naszych uczelniach jest niesłychanie mała w stosunku do liczby profesur, a stanowiska adjunktów i asystentów są pozajmowane przeważnie przez ludzi, którzy nie zdradzają tendencji do poświęcenia się pracy naukowej, lecz czekają tylko chwili uruchomienia się przemysłu, by oddać się popłatniejszej pracy zawodowej. Z pośród profesorów, zajmujących obecnie katedry w szkołach akademickich, co najmniej trzy czwarte znajduje się w wieku od lat 40 do 55, czyli że za lat 10 do 15 wszyscy oni powinni przejść na emeryturę i opuścić zajmowane przez się stanowiska. Któż ich wówczas zastąpi, — nie mówiąc już o tem, komu będziemy powierzali wakujące obecnie katedry, lub katedry w nowych wszechnicach, które powinny powstać w najbliższej przyszłości? O tem, żeby ten konieczny materiał na nowych profesorów i badaczy mógł się całkowicie wykształcić i wykształcić w naszych własnych uczelniach — nie może być mowy. Długo bowiem lata upłyną, zanim w naszych uczelniach wytworzy się prawdziwa atmosfera naukowa, atmosfera twórcza i podniecająca. Przez długie lata główne zadanie naszych uczelni będzie polegało na kształceniu pracowników — przyszłych urzędników, prawników, teologów, lekarzy, weterynarzy, inżynierów, architektów, górników, rolników i t. p. Wo-

bec przepełnienia naszych uczelni przez młodzież uczącą się, wobec niedostatecznego pod względem liczebnym personelu nauczającego oraz niedostatecznych środków pomocniczych naukowych, — ta praca pedagogiczna „niższego stopnia“, praca, skierowana do wykształcenia „zawodowców“, będzie pochłaniała całą energię personelu nauczającego. Twórcza praca naukowa będzie musiała z konieczności rzeczy pójść na drugi plan.“ (Potrzeby nauki polskiej, t. IV, N. P.)

A więc nasamprzaw uczelnie nasze winny się zająć sprawą przygotowania nowych sił do stanu profesorskiego i nie jestem pewien, czy powstały uniwersytet śląski rozporządzałby dostatecznymi siłami naukowymi w obecnym okresie. „Całe wielkie odłamy wiedzy nie mają ani jednego przedstawiciela w gronie naszych docentów.“ Według opinii Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie (1921), „stwierdzić należy przedewszystkiem bardzo dotkliwy brak przedstawicieli nauk humanistycznych w porównaniu z przedstawicielami nauk przyrodniczych.“ Uniwersytet jako ognisko kultury umysłowej jest konieczny, jednak zastanówmy się, czy w obecnym stanie rzeczy nie mogłoby jego roli spełniać instytucje zastępcze. Mam tu na myśli wspomniane już Muzeum śląskie, biblioteki i towarzystwa naukowe. Przypuszczam, że tymczasem mogłyby one spełnić dwa główne obowiązki uniwersytetu, że użyję tu słów fizjologa niemieckiego O. Dittricha: „dać uczniowi w rękę broń, jaką jest nauka i pielęgnować ducha badawczego“. Towarzystwa naukowe przez odpowiedni dobór tematów budziłyby wśród swoich członków stałe i żywe zainteresowanie, wywołując wśród nich spotęgowanie pracy czy to samokształceniowej, czy badawczej, niejednokrotnie do najwyższego napięcia. „Muzeum i biblioteki — jak powiada prof. Bujak — będą stanowić ogniska, koło których miejscowi ludzie

z popędami naukowymi będą się skupiać, wzajemnie krzepić i do pracy zachęcać; będą one częściowo ułatwiały im pracę, choćby przez pośrednictwo w wypożyczaniu książek i rękopisów z większych bibliotek..." Powinny również te instytucje starać się o częstsze przybywanie profesorów uniwersyteckich, którzyby jednak wygłaszali pewien cykl wykładów ujmowanych nie popularnie, jak to obecnie istnieje, lecz na wzór słynnych prelekcji „*College de France*“ lub „*Ecole pratique des hautes etudes*“, ujmujących dany przedmiot bardziej technicznie, by słuchacz mógł bezpośrednio czuć się w atmosferze stwarzającej się myśli naukowej. Forma i treść wykładu powinna być motorem istotnej twórczości naukowej, budzić w umyśle słuchacza oddźwięk, porywy bardziej idealnego stosunku do nauki, aniżeli ambicję osiągnięcia średniowiecznych przeżytków w postaci szumnych tytułów i olbrzymich dyplomów, osłaniających zazwyczaj pustkę i miernotę ambitnej jednostki. Jeżeli Śląsk istotnie ma być pionierem nowych dróg i idei, niech zamiast uniwersytetu stworzy kuźnię myśli badawczej, podobną do „*College de France*“, a nie fabrykę, wytwarzającą „młodzieńców dyplomowanych“, niech stworzy wszechnicę, gdzie każdy będzie mógł stanąć bezpośrednio przy warsztacie twórczej pracy naukowej nad zagadnieniami regionalnymi Śląska oraz nad potrzebami nauki.

Wszechnica ta byłaby czemś pośrednim między „*College de France*“, „*L'Ecole pratique des hautes etudes*“ oraz „*Museum d'histoire naturelle*“ w Paryżu. Celem jej byłoby przyczyniać się do postępu nauk, głównie regionalnych, przez badania, odkrycia i nauczanie, przez wyprawy naukowe i publikacje oraz przygotowywanie eruditów w rozmaitych gałęziach wiedzy. Szkoła, jak świątynia, dostępna dla wszystkich i bezpłatna, nie wymagałaby od kandydatów żadnych wa-

runków: wieku, płci, stopni naukowych; jedynie tylko dowodu zainteresowania się daną gałęzią wiedzy. Prace słuchaczy cechowałby bliski i ustawiczny kontakt z profesorem, których tenże znałby osobiście, na tej zasadzie jedynie przyjmując do swego grona. Muzeum i laboratorium, posiadające duży zasób materiałów, byłoby wasztatem do realizowania prac naukowo-doświadczalnych. Nie można wymyśleć instytucji, bardziej sprzyjającej czystej nauce i bezinteresownym badaniom. W miarę potrzeby grono profesorów powoływałoby nowe katedry, czasem wprost dla danej osoby, której nauka inaczej nie mogłaby promieniować dość swobodnie. Profesorowie większość czasu poświęcaliby swoim badaniom, a w wykładach publicznych rozpowszechniali te wyniki, do których doszli. W takim środowisku, dostępnym nawet dla robotników, skupiałyby się umysły, żądne wiedzy, spragnione atmosfery czystego badania i bezinteresownych dociekań, których to adeptów na Śląsku oraz przyлегłym Zagłębiu jest wielu; nie mówiąc, że z całej Polski zjeżdżałoby się nie tylko uczniowie, ale nawet specjaliści — jako słuchacze. Oczywiście, że wykłady byłyby naogół wyższe od uniwersyteckich, bardziej techniczne. Co do metody zależałoby ona od przedmiotu, przybierając formy rozmaite: wykładu, dyskusji, seminarjum, pracy wspólnej z profesorem. Jako uzupełnienie powyższej akademii, którą proponowałbym nazwać „*Śląski Instytut Badawczy im. Karola Miarki i Pawła Stalmacha*“, powstałyby liczne stowarzyszenia naukowe, lokalne, mające charakter klubowy, często w łonie już istniejących związków kulturalno-oświatowych. Czynnikiem rozwoju tego rodzaju stowarzyszeń, o terytorjalnie ograniczonym zakresie byłyby oczywiście nie tylko względy teoretyczne, ale silnie rozwinięty patriotyzm lokalny: cieszyński, górnośląski, lub bardziej zróżniczkowany

patryjotyzm powiatowy, motywy praktyczne, a wreszcie — zainteresowanie estetyczne. Wszystkie te organizacje skupiałyby się przy Instytucie Badawczym oraz muzeach, nie tylko wojewódzkim, ale poszczególnych powiatów i zawodów. Ciągłe nagromadzanie wyników zapewniłoby natychmiastowe podjęcie każdej płodnej myśli, ułatwiając zdobywanie środków pomocniczych, a oszczędziłoby zbyt wielu starców i powtarzań. Przedewszystkiem jednak dzięki tak pojętej organizacji byłaby zachowana ciągłość i systematyczność w pracy naukowo-badawczej na Śląsku. Aforyzm kol. Musioła „Nie bójmy się chcieć rzeczy wielkich“, trzeba czytać „nie obawiamy się działać tak, jak nikt nie działał dotąd. To, co wielkie, wyrośnie z tego jedynie, co przerasta sprawy codzienne.“

W trakcie pisania „Zagadnień“ doszła mnie wieść o śmierci Władysława Orkana. Ubył jeden z czołowych przedstawicieli naszego regionalizmu, ubył duchowy wódz budzącego się Podhala. Pamiętam, na zjeździe jubileuszowym w Szaflarach, w 1926 roku, Orkan — mówiąc o programie odrodzeniowym, o oparciu odrodzonej Rzeczypospolitej na trwałych przyciesiach społecznego demokratyzmu, do czego zmierzać ma właśnie ruch regionalny, jasno sprecyzował wytyczne re-

gionalizmu artystyczno-społecznego w słowach, które trawestując, stosują się do nas: „Odzywam się do Ciebie, synu Śląska, młodszy mój Bracie, Ty idący i Ty, który przyjdiesz... Odzywam się prawem miłości tej ziemi, prawem serca. Uczysz się, lub uczyłeś się historii, życia Greków, Rzymian, narodów zmarłych i żyjących jeszcze. Poznaj-że przedewszystkiem przeszłość Twojej bliższej Ojczyzny — Śląska i jego stosunek do przeszłości Rzeczypospolitej... Dbaj o zachowanie spuścizny Twych ojców; rodzimej sztuki, rodzimej kultury. Dąż do tego, aby Twoja, oczyszczona z nalotów obcych, kultura ludowa poszła w górę, rozkwitnęła w kwiat wielkiej kultury narodowej, godnej zająć poczesne miejsce w dorobku wszechludzkim. Jak śpiewki chłopsko-kujawskie wyniósł na wierch muzyki wszechświatowej Szopen — tak oto dąż: by twe ojczyste pieśni, niezabaczone jeszcze nuty wyznaczyły się w orkiestrze świata; by z kozikowych ojców robót, z naiwnych figur przy drodze, posąg skrzydlaty rzeźby rodzimej wystrzelił, by Twa nadbudowana już literatura wzmogła się wyżej, poniosła sławę Twojej Ojczyzny dalej, stała się wszechną, całemu czytelną światu....“

Niechże słowa te staną się naszym hasłem!

Król. Huta, czerwiec 1930.



Piśmiennictwo polskie na Śląsku Cieszyńskim.*)

Piśmiennictwo polskie pojawiło się na Śląsku Cieszyńskim dosyć wcześnie. Fryderyk Jerzy Wilczek, swobodny pan z Dobrej Zemicy (Dobrej) i z Hulczyna, pan na Wielkich Kończycach i Kaczycach, przetłumaczył w r. 1654 postylę Jana Hermana, proboszcza kobieńskiego, na język czeski. Piszący o tej książce historyk czeski Wincenty Prásek dodaje od siebie: „miejscami atoli przeważa dialekt cieszyński“, to jest polski. Leopold Szersznik w swej książce: „Nachrichten von Schriftstellern und Künstlern aus dem Teschner Herzogthum“, wymienia cały szereg pisarzy, pochodzących z Księstwa Cieszyńskiego, którzy pisali w języku łacińskim, niemieckim, polskim i czeskim. Ks. Londzin w swej pracy „Polskość Śląska Cieszyńskiego“ stara się skompletować wszystkie polskie druki, wydane począwszy od r. 1716 aż do r. 1848 i w swej bibliografii notuje skrzętnie wszystkie nowsze druki, których liczba wynosi już od 2000 do 3000.

Zadaniem niniejszej pracy jest stwierdzenie obecnego stanu piśmiennictwa. Przyznać trzeba, że rozwija się ono pomyślnie i rokuje obecnie, gdy kraj nasz w części przyłączony został do Polski, jak najlepsze nadzieje.

Rozumie się samo przez się, że dopiero zaprowadzenie języka polskiego jako wykładowego w szkołach śląskich w połowie XIX wieku wywołać mogło żywszy ruch na polu piśmiennictwa polskiego. Pierwsze usiłowania na tem polu zmierzają głównie do zaopatrzenia ludności w modlitewniki i kancjonały. Na tem polu pracowali wśród katolików ks. Antoni Janusz, proboszcz w Zebrzydowi-

cach, ks. Józef Guziur, proboszcz w Jaworzu, ks. Jan Żmijka, wikary we Fryszcie, w nowszych czasach ks. Rudolf Tomanek i inni, wśród ewangelików zaś ks. Jerzy Bogusław Heczko, pastor w Ligotce Kameralnej, ks. Karol Kotschy, pastor w Ustroniu i inni.

Zaopatrzyć też należało rozrastające się szkolnictwo polskie w podręczniki szkolne. Katolicy otrzymywali je z ówczesnej Galicji; trudniej przedstawiała się sprawa co do szkół ewangelickich. Tu położył duże zasługi Jan Śliwka, który wydał liczne książki szkolne dla szkół ewangelickich.

Zaczęły też pojawiać się tak bardzo przez ludność ulubione kalendarze. Pierwszy taki kalendarz: „Kalendarz Cieszyński“ wyszedł pod redakcją Pawła Stalmacha w r. 1857. Drukowany on jest jeszcze szwabachą i nie mieścił na 36 stronicach oprócz właściwego kalendarza, spisu członków rodziny panującej, „modły stęplowej i jarmarków „Kraju cieszyńskiego i pogranicznych miast“ niczego innego. Następne roczniki tego kalendarza były już znacznie obszerniejsze. Z biegiem czasu liczba kalendarzy śląskich wzrastała tak, że przed wojną światową wychodziło ich kilkanaście. Dawniej zaopatrywał Śląsk w kalendarze Edward Feitzinger i księgarnia B. Kotuli, obecnie zaś czyni to Józef Nowak z Orłowej i różne stowarzyszenia.

Powstały też na Śląsku Cieszyńskim stosunkowo bardzo wcześnie towarzystwa wydawnicze, jak „Dziedzictwo bł. Jana Sarkandra dla ludu polskiego na Śląsku“, dla katolików, założone w r. 1873 przez ks. Ignacego Świeżego i „Towarzystwo ewangelickie oświaty ludowej“, noszące obecnie imię „Towarzystwa ewangelickiego“, założone w r. 1881 przez ks.

*) Artykuł niniejszy pochodzi z roku 1925. Znalaziono go w papierach ś. p. Zmarłego.

Franciszka Michejdę. Pierwsze z nich rozpowszechniło do 1924 r. 456.035 egz. książek, broszur i kalendarzy z treścią przeważnie religijną, powieściową i historyczną, drugie zaś wydało i rozpowszechniło do roku 1909 przeszło 55.000 egzemplarzy ewangelickich książek. Oba więc towarzystwa zasłużyły się dobrze około rozwoju piśmiennictwa polskiego na Śląsku Cieszyńskim. Do rozkwitu „Dziełnictwa“ przyczynili się pracami swojemi najwięcej ks. Ignacy Świeży i ks. Rudolf Tomanek, profesor w Cieszynie, podczas gdy dla „Towarzystwa ewangelickiego oświaty ludowej“ pracował bardzo wydatnie ks. dr. Jan Pindór, pastor w Cieszynie.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zeszłego wieku wychodziła biblioteka E. Feitzingera, której wyszło kilkadziesiąt tomów. Wydawnictwo to nie przedstawiało większej literackiej wartości, lecz przyczyniło się mocno do wzmożenia czytelnictwa wśród naszej ludności, a więc i ono spełniło swoje zadanie. Pracowali w niem prawie wyłącznie pisarze z poza Śląska.

Z chwilą znacznego przyrostu inteligencji polskiej, spowodowanego założeniem gimnazjum polskiego w Cieszynie, wzmożło się piśmiennictwo bardzo znacznie na każdym polu. Przedewszystkiem mnoży się literatura naukowa, dramatyczna i powieściowa. Nie chcemy powiedzieć, jakoby przed tem na tem polu nic nie zrobiono, bo prace naukowe dr. Jana Bystronia, dr. Andrzeja Cinciały, Pawła Stalmacha i popularne dziełka ks. Świeżego są nam wszystkim znane. Jednak postęp i rozmach, jaki z biegiem czasu nastąpił, jest widoczny, wielce pocieszający i rokujący najlepsze nadzieje na przyszłość.

Pierwsze prace naukowe w nowszych czasach zaczęły się corocznie pojawiać w programach gimnazjum polskiego, począwszy od r. 1895. Pisali je profesoro-

wie tegoż zakładu. Poza tem podnieść należy przedewszystkiem liczne prace historyczne dyrektora tegoż gimnazjum, Franciszka Popiołka, jak: *Dzieje Śląska austriackiego z ilustracjami* (1915), *Dzieje Cieszyna od założenia miasta do czasów nowszych* (1904), *Dzieje Cieszyna z ilustracjami* (1916), *Orłowa i Ostrawa Polska. Zarys ich dziejów* (1915), *Popularne dzieje Śląska z ilustracjami* (1910), *Przedwojenny stan polskiego szkolnictwa ludowego w Księstwie Cieszyńskim* (1917), *Szkice z dziejów kultury Śląska* (1905) i inne. Prace te wiele rzeczy, dotąd zupełnie nieznanych lub wątpliwych, należycie wyjaśniły. Poważnych prac historycznych dostarczył naszemu społeczeństwu ks. Oskar Zawisza, proboszcz w Cierlicku, przez wydanie książki „*Dzieje Strumienia*“ i napisanie całego szeregu rozpraw historycznych, drukowanych w „*Gwiazdce Cieszyńskiej*“ o „*Czarnej Księżnej*“, o kościołach, należących do parafji cierlickiej i t. p. Ks. prof. Londzin wydał kilka prac z dziedziny bibliografji śląskiej, napisał rozprawę p. t.: *Stan szkół ludowych w Księstwie Cieszyńskim na początku XIX stulecia* (1902), *Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w Księstwie Cieszyńskim* (1901) i książkę „*Polskość Śląska Cieszyńskiego*“, jako też cały szereg mniejszych rozpraw historycznych, ogłaszanych w „*Gwiazdce Cieszyńskiej*“. Ks. Karol Michejda, obecnie profesor uniwersytetu w Warszawie, spisał „*Dzieje kościoła ewangelickiego w Księstwie Cieszyńskim*“ (1909). Drobniejszych prac historycznych, których jest znaczna ilość, nie będziemy tu dla braku miejsca wymieniali. Z powyższemi pracami historycznemi stoją w związku pomoce szkolne w postaci podręczników do użytku nauczycieli szkół ludowych i do użytku w szkołach ludowych i wydziałowych. Pod tym względem zasłużył się Paweł Bobek, profesor seminarjum nauczyciel-

skiego na Bobrku, wydając podręczniki: Elementarna nauka historii ojczystej i powszechnej (1916), Uwagi o nauce historii w szkole powszechnej (1919) i inne, jako też Jan Wojnar, nauczyciel szkoły wydziałowej w Cieszynie, który napisał: Dzieje ojczyste i powszechne do użytku polskich szkół wydziałowych i powszechnych. Alojzy Milata, profesor seminarjum bobreckiego, wydał podręczniki do użytku nauczycieli szkół powszechnych: O znaczeniu i sposobie nauczania geografii w szkołach powszechnych (1919) i Wiadomości z geografii (1913) do użytku w szkołach ludowych. W pracach tych bierze także udział Teofil Skrzypek, również profesor seminarjum bobreckiego. Oprócz prac powyższych wydał Alojzy Milata jeszcze kilka innych z dziedziny geografii. Dyrektor Popiołek, inspektor Klemens Matusiak i profesor Golasowski zaopatrzyli szkoły i ludność w mapy Śląska Cieszyńskiego i Województwa śląskiego. Sympatyczny przewodnik po Śląsku Cieszyńskim wydał ks. Antoni Macoszek, były proboszcz w Dziedzicach.

Geologją Księstwa Cieszyńskiego zajmuje się inspektor Karol Buzek, który do swojej odnośnej pracy wydał także mapkę geologiczną naszego kraju.

Kiedy już mowa o książkach i pomo-cach szkolnych, wypada wymienić elementarz inspektora Karola Buzka i zastępcy inspektora J. Kubisza, który to elementarz w miejsce dawnego, zestawionego przez W. Terlitzę, J. Kubisza i A. Pacułę w polskich szkołach powszechnych Śląska Cieszyńskiego w r. 1923 zaprowadzony został.

Również w zaborze czeskim pracuje kilku nauczycieli nad nowymi podręcznikami dla tamtejszych szkół polskich, aby zadosyć uczynić wymaganiom władz czeskich w tym względzie.

Odkąd szkoła gospodarstwa wiejskiego przeniesiona została w r. 1920 z Bydgoszczy do Cieszyna, ożywiło się piśmien-

nictwo naukowe bardzo znacznie na polu przyrodoznawstwa. Profesor Simm wydaje doskonale czasopismo miesięczne, poczynawszy od stycznia 1924 r. pod tytułem „Przyrodnik“ i bibliotekę „Przyrodnika“, w której uczeni, piszący do powyższego miesięcznika, wydają swoje prace w osobnych odbitkach. Przy pomocy profesorów powyższej szkoły gospodarstwa wiejskiego wychodzą różne wartościowe książki z zakresu przyrodoznawstwa, chemii i rolnictwa. Wymienić tu wypada oprócz prof. Simma jeszcze profesorów Duchowicza, Piekarskiego i innych.

Pisząc o przyrodoznawstwie i spokrewnionych z niem naukach, nie możemy pominąć milczeniem prac przedwcześnie zmarłego dyrektora zimowej szkoły rolniczej w Cieszynie Władysława Szybińskiego i kilku jego uczniów, którzy napisali cały szereg broszur z zakresu rolnictwa.

Celem podniesienia śpiewu i muzyki w szkołach i poza szkołą wydał Andrzej Hławiczka, profesor seminarjum bobreckiego, kilka zbiorów pieśni. Akcję tę podtrzymuje w dalszym ciągu syn jego Karol, również profesor seminarjum bobreckiego, wydając śpiewnik dla szkół i książkę o głównych zagadnieniach metodycznych nauki śpiewu w szkole powszechnej. Śpiew i muzyka posiadają także w osobie Jerzego Hadyny, profesora żeńskiego seminarjum nauczycielskiego w Cieszynie wybitnego znawcę i miłośnika. Do podniesienia śpiewu w kościołach katolickich przyczynił się niemało przez swój „Chorał“ ks. Emiljan Schindler, były proboszcz w Jasienicy, podczas gdy ks. Oskar Zawisza, proboszcz w Cierlicku, pracuje przeważnie na polu świeckiej muzyki, wydawszy i śpiewnik górnicy i napisawszy melodramaty: „Św. Barbara“ i „Czarna księżna“ ze śpiewami i produkcjami orkiestralnymi własnej kompozycji. Muzyką kościelną i śpiewem zaj-

mują się także ks. Leopold Biłko w Cieszynie¹⁾ i ks. Franciszek Moroń, proboszcz w Ropicy, nie mówiąc już o licznej gromadzie miłośników kościelnego i świeckiego śpiewu i muzyki, znajdujących się prawie w każdej miejscowości naszego kraju.

Z estetyką poezji polskiej zapoznaje inteligencję i młodzież szkolną dr. Henryk Życzynski, profesor gimnazjum cieszyńskiego.²⁾

Pomiędzy powieściopisarzami śląskimi pierwsze miejsce zajmuje dotąd Walenty Krząszcz, kierownik szkoły w Górnym Międzyrzeczu, którego powieści, pisane przeważnie w dialekcie polsko-śląskim, cieszą się wielką poczytnością, gdyż oddają z fotograficzną ścisłością życie naszego ludu. Do śląskich powieściopisarzy nie zaliczamy jeszcze Zofii z Kossaków-Szczuckiej, zamieszkałej w Wielkich Górkach, lecz ponieważ wybitna ta literatka zaczyna pisać powieści na tle historii i legend śląskich, jak ostatnio w „Czasie“, powieść pod tytułem: „Prawdziwa historia Ondraszka Szebesty“, więc wolno przypuszczać, że przerzuci się ona z biegiem czasu na tematy śląskie i wobec tego wszystko, co Ślązacy utworzyli, wobec jej wielkiego talentu, przypominającego Sienkiewicza, zblednieje. W naszych czasopiśmie umieszczali młodszy śląscy literaci cały szereg mniejszych powieści, lecz ponieważ to czynili pod pseudonimem i umieszczali tylko drobniejsze rzeczy, więc ich tu nie wymieniamy, życząc im tylko, żeby w swoich poczynaniach nie ustawiali i ewentualnymi krytykami nie zrażali się.

Pocieszającym objawem jest, że wśród naszych pisarzy ludowych także sztuka dramatyczna posiada dosyć licznych przedstawicieli. Pierwszym, który

próbował sił swoich na tem polu, był Stalmach przez napisanie śpiewogry ludowej „Cieszymir“, który jednak nie był dotąd wystawiony. Drugie miejsce według chronologii należy się dr. Ernestowi Farnikowi z Cieszyna, który napisał sztukę w 3 odsłonach dla amatorskich scen ludowych na Śląsku p. t. „Iste Roki“, cieszącą się znaczną popularnością. W r. 1909 wydał Franek, prawdopodobnie pseudonim, sztukę ludową: „Ogniwo do ognia“, odgrywaną często w rewirze ostrawsko-karwińskim. Z życia robotników folwarcznych napisał Jan Szućlik obraz sceniczny pod tytułem: „Pańszczorze czyli Wesele Śląskie“, w którym maluje opłakane położenie, w jakim się ta biedna warstwa ludności w dworach arcyks. znajdowała. Łysek Jan obdarzył nasze piśmiennictwo dramatyczne doskonałą rzeczą: „Śpiący rycerze“ z muzyką Jerzego Hadyny. Tenże pomnożył nasz repertuar monologowy kilku doskonałymi rzeczami. Nie można nie wspomnieć ks. Oskara Zawiszy, który nie tylko jako kompozytor, ale także jako autor dwóch melodramatów i „Jasełek“ pomiędzy naszych pisarzy dramatycznych zaliczony być powinien. Dalsza wzmianka należy się znanemu śląskiemu powieściopisarzowi Walentemu Krząszczowi, którego sztuka ludowa: „Raubczycy z pod Czantorji“ cieszy się na scenach śląskich dużym powodzeniem. Nareszcie wymienić musimy jeszcze ks. Emanuela Grima, którego sztuka ludowa: „Dwa orły śląskie“ odegrana była w ostatnich trzech miesiącach r. 1924 kilkadziesiąt razy w różnych miejscowościach województwa śląskiego z okazji jubileuszu Pawła Stalmacha i Karola Miarki. Ten sam autor napisał w pięciu odsłonach: „Jasełka śląskie“, przedstawione niejednokrotnie na scenach śląskich. Nie przesadzimy, jeżeli powiemy, że sądząc z dotychczasowego żniwa, rozwój dramatycznej sztuki ludowej zapowiada się na przyszłość wcale dobrze.

¹⁾ Obecnie w Poznaniu (przyp. Red.).

²⁾ Obecnie profesor Uniwersytetu Lubelskiego (przyp. Red.).

Oprócz towarzystw wydawniczych, o których była już powyżej mowa, trudnią się wydawnictwami książek na większą skalę dwie księgarnie cieszyńskie, mianowicie B. Kotuli i księgarnia „Kresy“.

Księgarnia B. Kotuli wydaje „Samouczek Techniczny“, obejmujący już 80 numerów. Również w nakładzie tej księgarni wychodzi „Ilustrowana biblioteka dla młodzieży“, która doszła już do 10 tomów. I ona, jak Samouczek, szerzy wiedzę techniczną i przyrodoznawstwo. Uczyniony też jest początek z „Praktyczną biblioteką dla dziewcząt. O ile „Ilustrowana biblioteka dla młodzieży“ uwzględnia przedewszystkiem upodobania chłopców, o tyle znowu „Praktyczna biblioteka dla dziewcząt“ stanowi podręczną bibliotekę dla kobiet. Dotąd wyszedł wprawdzie tylko jeden tomik, ale w druku znajduje się cały szereg tomików, których treść obejmuje najważniejsze zajęcia kobiety w gospodarstwie domowym. Księgarnia ta wydaje także „Przyrodnika“, miesięcznik, poświęcony naukom przyrodniczym pod redakcją prof. dr. K. Simma. Z wydawnictwem tem stoi w związku „Biblioteka Przyrodnika“, która jest zbiorem odbitek poważniejszych artykułów z „Przyrodnika“ i która liczy dotąd 16 tomików. Księgarnia ta wydała nadto jeszcze cały szereg dzieł technicznych dla młodzieży, które cieszą się wielką poczytnością.

Wydawnictwa te zasilają swoimi pracami przeważnie technicy i przyrodnicy pozaśląscy. Lecz i Ślązacy biorą się do pracy. Wymienić tu musimy Jana Samca, słuchacza politechniki lwowskiej, piszącego pod pseudonimem Sojana, który przetłumaczył Schnetzlera „Doświadczenia elektrotechniczne“ i pisze „Samouczki techniczne“. Jerzy Cieńciała, profesor żeńskiego seminarjum nauczycielskiego w Cieszynie, napisał dla „Ilustrowanej biblioteki dla młodzieży“ tomik, zatytułowany: „Młody mineralog“, jest współ-

pracownikiem „Przyrodnika“ i pisze Samouczki. Jan Ciahotny z Górnego Żukowa spopularyzował najnowszy wynalazek radjokomunikacji w książce „Radio dla wszystkich“ i pisze równocześnie „Samouczki techniczne“ i jest współpracownikiem „Przyrodnika“. Profesor Stanisław Sowa z Cieszyna pomnożył „Ilustrowaną bibliotekę dla młodzieży“ o trzy tomiki. Dzieło dr. Nothdurfta przetłumaczył Paweł Heczko, kierownik szkoły w Goleszowie i wydał przy pomocy prof. B. Duchowicza pod tytułem „Doświadczenia chemiczne“ i przygotował do druku rzecz oryginalną: „Doświadczenia fizyczne“. Nadmienić jeszcze wypada, że profesorowie bobreckiego seminarjum Alojzy Milata i Andrzej Koźdoń są współpracownikami „Przyrodnika“.

Również księgarnia „Kresy“ zajmuje się wydawnictwem książek naukowych. W jej nakładzie wychodzą dziełka dr. Życzynskiego i prof. Simma, jako też wyszło kilka podręczników szkolnych, o których już powyżej była mowa. Jej nakładem wychodzi także „Miesięcznik pedagogiczny“.

Pozostaje jeszcze do omówienia dziennikarstwo periodyczne. Ciekawy jest szczegół, że pierwsze polskie pismo ludowe, jakie w r. 1837 zaczęło wychodzić w Lesznie w Poznańskim pod redakcją ks. T. Borowicza, zatytułowane „Szkołka niedzielna“, a zainicjonowane i finansowane przez generała Dezyderego Chłapowskiego, miało na Śląsku Cieszyńskim abonentów. Abonentem jego od samego początku był Jan Szotkowski, kierownik szkoły w Puńcowie, zmarły 5 grudnia 1874 r. Jedenaście lat później zaczął Paweł Stalmach wydawać „Tygodnik Cieszyński“, który po trzech latach zamienił na „Gwiazdkę Cieszyńską“; liczy ona już obecnie 78 rocznik. Z biegiem czasu powstawały różne pisma, ale tylko część ich utrzymała się aż do naszych czasów.

Jednak liczba ich razem z nowo w ostatnich czasach powstałymi jest dosyć poważna i zupełnie wystarczająca do zaspokojenia wymagań naszej ludności. Od 1 stycznia 1906 zaczął wychodzić „Dziennik Cieszyński“, który w r. 1923 przybrał nazwę „Dziennika Śląska Cieszyńskiego“. Z dniem 1 stycznia 1897 r. zaczął się pojawiać „Głos ludu śląskiego“, który się również aż do obecnej chwili utrzymał. W miejsce dawnego „Przyjaciela ludu“, pisma ewangelickiego, wychodzi od 1 stycznia 1910 „Poseł ewangelicki“. Socjalistom służy od 1 stycznia 1904 r. „Robotnik śląski“, przemieniony później na Dziennik, i cały szereg pism zawodowych, wychodzących obecnie na czeskim Śląsku Cieszyńskim. Również po czeskiej stronie wychodzą: „Gazeta kresowa“, „Nasz Kraj“, „Przyjaciel Dzieci“, „Moje Piśmko“ i czechofilski „Nasz Ślązak“, któremu odpowiada po polskiej stronie germanofilski „Nowy Czas“. W ostatnich czasach zaczęła w Bielsku wychodzić „Nowa Republika“. Jako pisma fachowe wymienić wypada „Rolnika śląskiego“, który w r. 1924 przeniesiony został do Katowic, dalej „Miesięcznik Pedagogiczny“ i znanego już „Przyrodnika“. Wspomnieć tu także należy celem skompletowania prasy periodycznej o dziennikach urzędowych w polskim języku, których, choć obecnie wszystkie przestały wychodzić, było w ostatnich czasach sporo. Już w r. 1848 zaczął wychodzić dziennik rządu krajowego w języku polskim, który z biegiem czasu przybierał różne nazwy. Na przełomie XX wieku wydawały starostwa cieszyńskie, bielskie i frysztackie dzienniki urzęd-

dowe z tekstem niemieckim i polskim, które jednak po rozpadnięciu się Austrii przestały wszystkie wychodzić. Następnie pojawiały się dzienniki urzędowe Rady Narodowej, prefekta przy Komisji Międzynarodowej i komisarza rządowego Śląska Cieszyńskiego. Obecnie istnieje na obszarze województwa śląskiego jedynie „Dziennik ustaw śląskich“, wychodzący w Katowicach.

Pod względem językowym stoi prasa śląska na dosyć wysokim poziomie. Specjalnością jej są rozprawki i artykuły w dialekcie polsko-śląskim, które zaczęły się najprzód pojawiać w „Gwiazdce Cieszyńskiej“, począwszy od r. 1856 pod tytułem „Jura i Jonek“ i które znalazły następnie zastosowanie we wszystkich prawie pismach śląskich. Bije z nich gorące zamięłowanie do dialektu jako języka macierzystego. Specjalności tej nie należy tępić, o ile oddaje język ludu wiernie i dokładnie. Ponieważ dialekt, używany na Śląsku Cieszyńskim, przez zaprowadzenie dobrego i wysoko zorganizowanego szkolnictwa, skazany jest wcześniej czy później na wymarcie, to też piszący artykuły w czystym i nieskażonym dialekcie polsko-śląskim, gromadzą cenny materiał dla badaczy językowych, którzy kiedyś później odgrzebywać zechcą skarby naszego pięknego języka w pierwotnej szacie.

Z powyższych wywodów wynika, że małe Księstwo Cieszyńskie poszczycić się może bujnym piśmiennictwem, które, jak spodziewać się można, rozrastać się będzie żywo w dalszym ciągu. Bardziej szczegółowe daty do tej materji znaleźć można w bibliografji ks. Londzina.



Literatura śląsko-polska XVII wieku.*)

1. Tło historyczne. — 2. Geneza. — 3. Cechy literatury śląsko-polskiej przed r. 1848. — 4. Pisarze śląsko-polscy XVII. w.

Z wiekiem 17 język polski na Śląsku, którego mało literackie zabytki dotąd są więcej, niż ubogie, poczyną zrywać pętającą jego rozwój kajdany łaciny i urzędowej czeszczyzny, stwarzając w mowie narodowej prawdziwe już literackie pomniki.

Odtąd też można mówić o literaturze śląsko-polskiej. Nim omówimy jej cechy i przedstawicieli, trzeba najpierw szcikowo podać ogół warunków, które ją wywołały i sioisście ukształtowały na długie lata. Ślady i skutki perypetyj dziejowych Śląska w wieku 17 obowiązują niemal do wiosny narodów, o czym zresztą dobitnie świadczy jednakowy prawie charakter piśmiennictwa polsko-śląskiego przed r. 1848.

Wiek 17, a zwłaszcza I jego połowa, to okres potężnych wstrząsów w środkowej Europie, wywołanych głównie reformacją. Śląsk, wciśnięty między kraje, objęte wybitnie ruchem religijnym, więc między Polskę, Czechy, gdzie zarzewie wojny 30-letniej się poczęło, a kraje niemieckie, wystawiony był szczególnie na wpływy religijnych prądów i niebezpieczeństwa wojen.

Reformacja, która na Śląsku znalazła możnych opiekunów w osobach książąt

*) Wyjątek z większej pracy o literaturze śląsko-polskiej. Obrazu pełnego tej literatury, zwłaszcza starszej, niesposób dać odrazu. Nie jest ujęta (z wyjątkiem Cieszyńskiego) bibliograficznie, dzieła zaś ani zgrupowane, ani liczne. Wiele druków znamy tylko z tytułów, zatem o niektórych autorach wspomina się tylko na podstawie wiadomości o ich działalności literackiej. Na szczęście, coraz bardziej i coraz więcej jednostek poświęca się badaniom naszej przeszłości kulturalnej, więc też coraz nowe a nieznane rzeczy wychodzą na światło dzienne.

piastowskich, już około połowy 16 wieku wywołała tu bujny ruch religijny. Przyszedszy na Śląsk jako czysty luteranizm, rozszczepiła się na cały szereg zwalczających się często sekt, o różnych poglądach na chrystjanizm. Obok stojących twardo na gruncie nauki Lutrowej mamy braci czeskich, arjan, kalwinów i t. d. Prądy religijno-mistyczne, jakie ogarnęły żywioł niemiecki w miastach i szlachcie, wydały mistyka-reformatora Schwenckfelda (1489 do 1561), założyciela nowej, prześladowanej przez luteran sekty i wielkiego, o sławie europejskiej mistyka-myśliciela Böhme. W wielu wypadkach przerodziły się w dziwactwa, nie mające z chrystjanizmem nic wspólnego. — Krzewiły się i nauki tajemne, oparte o Paracelsusa, powszechne wtedy w Europie, przesycone religijną mistyką, jak alchemia, kabbalistyka, astrologja etc. Że sekty nieprawowierne wdzierają się również w żywioł polski, świadczą wycieczki przeciw nim w pismach Jádama Gdacjusza, następnie wypędzenie z Cieszyna w początkach 18 w. za należenie do ruchu pietystycznego pastorów Muthmana i Zasadjusza, pisarzy śląsko-polskich.

Na ten bujnym życiem religijnym i gospodarczym kwitnący kraj twardą stopą wkroczyła wojna 30-letnia: grasowały po Śląsku wojska cesarskie, przeciwników cesarskich, Szwedzi, a nawet Lisowczycy, pustosząc kraj olbrzymimi kontrybucjami, ogniem i mieczem.

Pogarszało położenie jeszcze to, że ludność na samym Śląsku podzieliła się na dwa wrogie obozy: katolicki i protestancki, ścierające się nawzajem bezwzględnie. Trzeba pamiętać, że umysły rozjątrzała

wtedy kontrreformacja. Zależnie zatem od wojsk, jakie stały na Śląsku i od wyznania panów, raz więcej ucierpiał obóz katolicki, raz znów protestancki. Zupełnie uzasadnione są bolesne skargi na okropności i skutki wojny, wyrrywające się z piersi ówczesnych pisarzy śląsko-polskich, jak ta Szymona Pistoriusa, bogomodlcy w Tarn. Górach i poety łacińskiego:

O patria infelix! tantis exercita bellis,
Sarmatii quondam portio magna soli.
Heu! sentis tibi nunc quanti decessio constet
Ista! tuo quando facta sit ista malo!
Depopulata iaces, terris aequata dehiscis,
Innumeris maeres civibus orba tuis.
Urbs cincta Oppolium, dederas cunabula quondam
Quae mihi rudibus turpificata gemis.
Templa silent ludique tacent, Astreaque cessat,
In vetus omnia sunt paene rearsa chaos.
Terra Polona viget. Cui si societa fuisses,
Nobiscum antiquo perfruerere statu.
Ad tua si posses primordia prima redire,
Quam felix iterum patria cara fores!²⁾

Kaznodziejski bardziej, a patosie pro-
roczym, nawołującym do pokuty, jest
wiersz Jakóba Opali „Do Czytelnika“,
położony na czele piątego kazania „*Ar-*
dens irae divinae ignis“ Gdacjusza:

„Ogień gore gniewu Bożego dziwnych plag srogo:
Pali miasta, sioła, dwory, czego wszędzie mnogo.

²⁾ Podajemy w tłumaczeniu:

Kraju nieszczęśliwy, coś był ongiś częścią
Polski znaczną, pod wojny zginając się pięścią.
Ach! dziś dopiero czujesz ogrom owej straty,
Że Cię ku klęsce Twojej odcięto przed laty.
Leżysz z ziemią zrównany, zniszczony, a krzepko
W mur ujęte Opole, co niegdyś kolebką
Moją było, gruzami zeszpecone wzdycha.
Bóstwo sprawiedliwości odeszło i z cicha
Upadkiem szkół i świątyń pustoszą zamierasz,
Wszystko w chaos przedwieczny zamienia się
teraz.

Tymczasem ziemia Polska dalej kwitnie!
A i Ty, gdybyś trwał z nią złączony zaszczytnie,
Zażywałbyś wraz z nią dawnych przywilejów —
Gdyby tak do pierwotnych wrócić dziejów,
Jakbyś była szczęśliwa znów, ojczyzno moja!
(„Głosy z nad Odry“, Rok IV. 1921, Nr. 3,
art. „Stare wiersze o Górnym Śląsku“.

X. A. K.

Pożyra i nawniwech obraca majątności:
Lud kaliczy i morduje żołnierz z okrutności.
Jeśli się do gaszenia tego ognia nie rzucimy,
Tedy wszyscy tą plagą do gruntu wyginimy.
A tak radzę, Bracie, żebyś bez omieszkania
Upamiętał się, a udał do pokutowania;
I czerpał wodę z fontany słowa niebieskiego,
Żebyś najrychlej pomógł zalać gniewu Boskiego.“

Wojna, tyle lat szarpiąca nieszczęsny
kraj, doprowadziła nie tylko do jego go-
spodarczego wyniszczenia, wynikiem woj-
ny i tarć religijnych w łonie samego spo-
łeczeństwa (wydzieranie sobie kościołów
np.) jest również powszechny wtedy upa-
dek moralności, żdźczenie obyczajów,
obok skrajnej nędzy życie nad stan. Pisma
Gdacjusza, który żywymi oczami pa-
trzał na zawieruchę wojny 30-letniej, a
potem przez parę dziesiątek lat pożywał
jej gorzkie owoce, są jedną wielką skargą
na ówczesne rozpasanie moralne Śląska.
Przedpowiadając w dedykacji do pierw-
szego z kazań, noszących tytuł „*Ardens*
irae divinae ignis“, o czym będzie w niem
pawł, pisze: „Z tego albowiem kazania
Wm. (waszmościowie) poniekąd widzieć
możecie, jak nędzny i utrapiony Śląska
naszego stan jest, które, w zbroję ubrane
będąc, Marsowi podlegać musi; a to dla
grzechów rozmaitych, na które się źli
ludzie, lubo się im obecna zguba i zni-
szczenie przed oczyma snuje, rozpasują;
i tak nimi ogień gniewu Bożego zapalając,
im dalej tym bardziej grzeszą.“

Ta głęboka depresja moralna i gospo-
darcza nie łamie życia umysłowego na
Śląsku, jeno go swoiście kształtuje. Uczony
humanizm na Śląsku, nie wyrastający
z potrzeb szerokich warstw ludności,
skupiony na dworach książąt, biskupów
wrocławskich i w szkołach humanistycz-
nych, noszący na sobie wybitną cechę
mecenaszowstwa, więc obcy w gruncie rze-
czy tak żywiołowi polskiemu, jak i nie-
mieckiemu, nie mógł na dalszą metę wo-
bec zmiany warunków być wyrazem kul-
turalnego życia społeczeństwa śląskiego.
To zeńście pisarzy na grunt realny było

równocześnie początkiem coraz bardziej zarysowującej się odtąd dwoistości kulturalnej i narodowej Śląska. Coraz mniej pisze się po łacinie, a coraz więcej po niemiecku i polsku. Życie kulturalne, które dotychczas miało jednakowe oblicze dzięki międzynarodowej łacinie i humanizmowi, jakkolwiek bezwątpienia większa część jego filarów rekrutowała się z pośród oświeczonego żywiołu niemieckiego, rozszczepia się obecnie na dwa strumienie: polski i niemiecki. I chociaż uczeni poeci niemieccy ze Śląska w XVII w. pozostają w żywej łączności i kulturą polską i państwem (tłumaczenie Kochanowskiego, przebywanie na dworze królewskim etc.), są już przedewszystkiem synami ludu niemieckiego i to na Śląsku i własnością wyłączną kultury niemieckiej, tak jak znów pisarze śląsko-polscy polskiej jego połaci. Literatura niemiecka obejmuje Śląsk dolny i miasta większe ziemczone, i jako dorobku duchowego bogatszej warstwy społecznej, rozporządzającej po miastach odpowiednio zorganizowanem szkolnictwem, nie można nawet porównywać z polską, — owocem, wyrosłym z uboższej kulturalnie i materialnie części Śląska, przeznaczonym w przeważnej mierze dla wsi i miasteczek. Podział ten literacki zgadza się z dokonywującym się wtedy podziałem etnicznym na Śląsk Dolny niemiecki i Górny — polski. Pas środkowy między dzisiejszym Górnym Śląskiem a Dolnym na długo jeszcze pozostał pasem przejściowym o stanowczej przewadze żywiołu słowiańskiego³⁾.

Centra też polskiego ruchu piśmienicznego (protestanckiego) na Śląsku w 17 wieku mieszczą się w większych skupieniach protestanckich na Śląsku Środkowym i północnym Górnym, które cieszyły się większą swobodą religijną, niż

np. Cieszyńskie, dzięki książętom-Piastom, w wieku 18 coraz częściej pojawiać się poczynają druki polskie na jego południowym skrawku, mianowicie w Księstwie Cieszyńskim, jakkolwiek i pierwsi przedstawiciele literaccy tego środowiska protestanckiego (Muthman, Zasadius) pochodzą z północnych okolic kraju. Świadczy to o rosnącej potrzebie książki polskiej na Ziemi Cieszyńskiej, którą, jako najbliższą Morawom, najmocniej przyniotła czeszczyzna, wdzierając się do kościoła tak katolickiego, jak i ewangelickiego, następnie o zmianie warunków bytowania protestantów, pozwalającej im swobodniej budować swe życie wyznaniowe. — Byczyńa Oleśnica, Tarn. Góry, gdzie kaznodzieją protestanckim polskim czas jakiś był Szymon Pistorius, Kluczbork, w którym przez liczne lata głosił sławne kazania jego fararz, Adamus Gdacius, Brzeg, słynny z drukarni, wytłaczającej książki religijne protestanckie nie tylko dla Śląska i nietylko polskie, wreszcie Cieszyn — oto ośrodki, koncentrujące polskie życie religijne i umysłowe protestantów śląskich. Literatura polsko-śląska w tym okresie związana jest bowiem z kościołem ewangelickim. Objawy ruchu literackiego w kościele katolickim na Śląsku mnożą się dopiero od II połowy 18 wieku. Przyczynę tego zjawiska można naturalnie wyjaśnić: w kościele katolickim, związanym mocno z państwem i to państwem, któremu obcą była myśl o potrzebie pielęgnowania kultury na podłożu języka rodzimego, wreszcie z powodu struktury wewnętrznej w ogólności, a organizacyjnej na Śląsku w szczególności (duch niemiecki w Wrocławiu, niepolskie studia księży etc.), pętającym w takich warunkach, jak wtedy na Ziemi Śląskiej, twórczość literacką polską nawet w zakresie religijnym, a innej tu wówczas nie mogło być, potrzeba polskiej książki religijnej i to dla samego kraju zrodziła się znacznie później; w protestanckim, roz-

³⁾ Nie da się zaprzeczyć, że w 17 i 18 wieku szereg twórczych jednostek z warstwy polskiej pracuje na rzecz kultury obcej — niemieckiej.

polemizowanym w sobie, niekrępującym tak bardzo jednostki w życiu religijnym, następnie uciskanym, rzecz prosta, że jako do jednego ze sposobów obrony wyznania i wypowiadania poglądów uciekano się do słowa drukowanego. — Książką dla ludności katolickiej była książka w języku urzędowym Śląska, więc czeskim, albo też książka, sprowadzona z Polski, skąd zresztą w okresie kontrreformacji powoływano księży. Zaznaczyć należy, że powiaty pszczyński i bytomski do r. 1821 w zakresie kościelnym podpadały pod władzę biskupa krakowskiego.

Z powyższych wywodów jasno wynika, że literatura śląsko-polska płynęła przed r. 1848 w wąskich brzegach. Wprzągnięta zupełnie w służbę kościoła, bo i szkoła wtedy z kościołem prawie organiczną stanowiła całość, nosi na sobie wszelkie cechy piśmiennictwa wyłącznie religijnego. Wcale to zresztą niedziwne. Warunki materialne i kulturalne, w jakich powstała i rozwijała się, mogły jedynie tego rodzaju literaturę zrodzić. Potrzeby ludności, dla której była przeznaczona, nie wychodziły też poza mury kościoła. Przejawy literackie polskie, wybiegające poza ramy życia religijnego, są niemal do r. 1848 tak nikle i blade tak co do ilości, jak i jakości, że nawet ciężko je brać pod uwagę. Potem i te pierwociny świeckie, charakterystyczne więcej z innych względów, niż literackich, wyszły z pod piór duchownych.⁴⁾

Dalsza cecha tej literatury, to, wyjąwszy język i kilku samodzielnych pisarzy, mała jego oryginalność. Mamy tu do czynienia przeważnie z tłumaczeniami z języka niemieckiego, w których naprawdę ciekawymi są oryginalne przedmowy tłumaczy, lepiej przerabiaczy, zawierające interesujące przyczynki do poznania ich sa-

mych, czy też nastrojów i życia ówczesnego. Jednakże dla tych, choćby przedmów i dla samego faktu, że książki te pisało wtedy dla Śląska, nie pulsującego życiem narodowym, bije z nich dziwny urok swojskości. Literatura ta nie posiada świadomości narodowej, będąc jednakże wykładnią i owocem bytowania duchowego ludności polskiej, jest nawskroś polską. Co więcej, mamy nawet drobne, ale znamienne dokumenty piśmiennicze w postaci opracowań poetyckich motywów regionalnych (w tym artykuły o tem nie będzie się mówić), co wymownie świadczy o tym wzrastającym patriotyzmie lokalnym na Śląsku, przejawiającym się w bezgranicznym umiłowaniu śląszczyzny.

Próbując teraz dla orjentacji rozczłonkować ten dodatek piśmienniczy Śląska ówczesnego na pewne grupy, wziąć musimy za podstawę podziału cel, jakiemu miały służyć: ściśle potrzebom kościoła i religii odpowiadają postylle, kancjonały, śpiewniki, modlitewniki, pieśni nabożne, związane, szczególnie u katolików, z mszą św. lub jakąś postacią religijną, kazania, następnie rozprawki o kwestiach teologicznej natury, czy też oświeclane z punktu widzenia teologii i religii.

Z szkołą wiąże się katechizmy, wydawane już w 17 wieku na Śląsku i dla Śląska, później wraz z rosnącym postępem nauczania szkolnego i podręczniki do innych działów nauki szkolnej, jak czytanki. Pomijając już niezwiązane ani z kościołem, ani z szkołą drobne przejawy literatury świeckiej, pominąć nie można wydawanych w 17 wieku głównie, we Wrocławiu książek polsko-niemieckich o charakterze podręcznikowym. Tego rodzaju „literatura“ potrzebną była wówczas na Śląsku, jako w kraju, gdzie element niemiecki z polskim bezpośrednio się stykał przez zamieszkanie albo stosunki handlowe z Polską. Marcin Dobracki, Jan Ernesti, Jerzy Schlag, nauczy-

⁴⁾ Wiersze Lompy, wydającego na kilkanaście lat przed r. 1848, należą już do epoki następnej.

ciele we Wrocławiu — oto czołowi przedstawiciele tej specjalnej literatury, ciekawej z punktu widzenia kulturalnej przeszłości Śląska.

Jak wyżej wspomniano, wybitna większość tego, co napisano na Śląsku po polsku przed r. 1848, wyszło z pod piór duchownych, najpierw wyznania protestanckiego, potem i katolickiego. Na bliższe poznanie i uwagę zasługuje z tego poczetu piszących paru. Zaznaczyć trzeba, że w 17 w. wcale liczne grono duchownych protestanckich pisało jeszcze po łacinie, jak Szymon Pistorius, autor przytoczonej elegji łacińskiej, Samuel Pollucius z Kluczborka, Benjamin Ducius, diakon z Byczyny i „scholae Bicinensis Rector“, jak się pod wierszem przezwiał, Johannes Conradi, Wacław Pripadlovius, Jakób Sarni, Maciej Wolfrath i inni, wszyscy przyjaciele najznakomitszego pisarza śląsko-polskiego przed r. 1848 — Adama Gdaciusa, wielbicieli jego pism, kładący na ich czele pochwalne łacińskie wiersze. Jako nieduchowny pisze po łacinie jeszcze w 18 w. Jan Karol Skop z Cieszyna, mimo pokrzywdzenia przez rodzinę w mieście Cieszynie, przedstawiciel niemal typowy śląskiego patriotyzmu lokalnego⁵⁾.

Wykluczwszy redaktorów ksiąg nabożnych, jak postylli Dambrowskiego, Rajskiego Ogródeczka Arndta, wspomnieć trzeba Jana Herbiniusa (ur. 1633, † 1679) z Byczyny, rektora szkoły najpierw w mieście rodzinnym, potem we Wołowie, — autora polskiego katechizmu (1660) i szeregu innych religijnych dzieł, Wojciecha Hentschla (1631—1686), tłumaczy pieśni nabożnych niemieckich na język polski, X. Jakóba Opalę, Tobjasza Gdacjusza (może brata Adama?), Adama Dedibiusa, zaopatrujących zaś w wier-

sze polskie pisma wspomnianego Gdacjusza, — Jana Kwakbolińskiego, senjora twarogórkowego, „sercem i ręką braterską“ czyniącego to samo na jego cześć.

Gdacjusz⁶⁾.

Zjawiskiem literackim naprawdę imponującym w piśmiennictwie śląsko-polskim przed r. 1848, a w religijnym wogóle, do ostatnich czasów na Śląsku jest „faraz kluczborski“ Adamus Gdacius, albo Jadam Gdacjusz, jak się czasem podpisywał. Ani pod względem ilości, ani jakości napisanych dzieł nikt nawet w porównaniu mierzyć się z inną nie może. Ze go już współcześni wysoce cenili, dowodem te łacińskie i polskie wier-

⁵⁾ Wiadomości o życiu Gdacjusza posiadam z „Postyllografji Polskiej“ Kolbuszewskiego, gdzie omówiono jego postyllę. Szczegółowsze wiadomości podaję z pracy p. Konstantego Prusa (bibliografji, w manuskrypcie), z której dzięki życzliwości Autora mogłem skorzystać. Podaję z niej krótką biograficzną notatkę: Gdacjusz Adam, pastor. Urodzony w r. 1615 w Kluczborku, uczył się w Brzegu, Wrocławiu, Toruniu, a na uniwersytet uczęszczał w Królewcu. Od roku 1637 był pastorem w Bardzowie (Bartfa) na Węgrzech, ale go stamtąd w r. 1641 wydalonono. Następnie pracował w duszpasterstwie ewangelickim kolejno w Toruniu, we Wilnie, a od r. 1644 w rodzinnym Kluczborku, gdzie już stale przez lat wiele pracował. Umarł także w Kluczborku dnia 18 września 1688. Wiadomem jest, że od r. 1644 do 1646 był w Kluczborku diakonem, od r. 1646 pastorem. (Expraeteritis disce! (Lerne aus der Vergangenheit.) Das Ergebnis eines Ganges durch das Pfarrarchiv der ev. Kirchgemeinde in Kreuzburg O. S. als Chronik der ev. Kirchgemeinde zu Kreuzburg O. S., zusammengestellt von Georg Hartink, Pastor 1904.) W takim razie musiał Gdacjusz już przed r. 1644 wygłaszać w Kluczborku kazania jako gość, skoro tytuł ich tak brzmi (dosłownie: „Ardens irae divinae ignis. To jest kilka kazań pokutnych o ogniu gniewu Bożego, w te zawichrzone y trwogami pokłcone czasy, niemal po wszystkich przeciągach padołów ziemskich pałającym: ktore Roku 1641 y 42 w kościele oyczystym odprawował X. Adamus Gdacius, sługa słowa Bożego w Kruciburku, alias Kluczborku.“ Wydane natomiast zostały w 1644.

⁶⁾ Patrz artykuły o nim prof. T. Sinki w 2 nr. „Zarania“ tegorocznego i w II Roczniku Twa Przyjaciół Nauk na Śląsku.

sze, jakie na jego cześć układali, a jakie on skrętnie umieszczał na czele albo na końcu swych pism. Ponieważ dużo pisał i wydawał, można powiedzieć, że pisma jego były niejako gazetą, gdzie się wypowiadali ówcześni śląscy wierszobowicze. — Dowodem jego nieprzeciętności i poczytności były i ataki przeciwników, krytykujących go albo za poglądy teologiczne, albo za język, z którymi też polemizuje w przedmowach do swych dzieł. Świadectwo to zarazem dość znacznego ruchu umysłowego, choć jednostronnego, wówczas na Śląsku.

Urodził się Gdacjusz około r. 1615. Na czas jakiś wojny 30-letniej, kształcił się w gimnazjum inowierczem we Wilnie i tu też stawia pierwsze kroki jako kaznodzieja i pisarz. Musiał mieć w Wilnie dużo przychylnych wśród wykształconych współwyznawców, kiedy pierwsze kazanie, wygłoszone w „kościółce ojczyznom” (musiał więc urodzić się w Kluczborku, bo tam miało miejsce) poświęca seniorom i dozorcóm „kościółki Augspurskiej Konfessyjej w Wilnie”, atakując równocześnie K. Kruziusa, który mu tam dokuczał, sprzeciwiając się, by jako nieukończony teolog wygłaszał kazania. W roku 1641 „odprawuje” już kazania w „Kruciburku alias Kluczborku”, wychodzące w piątym dziesiątku lat tego wieku pod prawie jednakowym tytułem: „*Ardens irae divinae ignis*”. To jest: Kilka kazań pokutnych o ogniu gniewu Bożego, w te zawichrzone i trwogami pokłócone czasy, niemal po wszystkich przeciągach padołów ziemskich pałających... W Kluczborku, patrząc, jak wojna wyniszcza gospodarczo i moralnie kraj i tu przez parę dziesiątek lat przeżuwając jej nieradosny plon, pisał dużo, przeważnie po polsku i to pewnie nie tylko z czystego popędu pisarskiego, ale i dla ratowania życia moralnego ludności. Umarł w r. 1688.

Liczne dzieła Gdacjusza podzielić dać się na trzy grupy: dzieła ściśle teo-

logiczne, nabożne i dydaktyczno-obyczajowe. Granica między jedną grupą a drugą jest dosyć płynna z tego powodu, że jak z jednej strony wszystkie zagadnienia rozwiązuje w tych swoich „dyskursach” na tle wyłącznie religijnem, tak znów z drugiej przesycą wszystkie pisma współczesnością, czyniąc je przez to wyrazem ówczesnych powszechnych nastrojów i życia śląskiego. Najwięcej pozostawił pism teologicznych. Mamy więc różne „dyskursy”, ich „kontynuacje”, „kwiestje”, jak „Dyskurs o grzechach szóstego przykazania Bożego, jakoż to są: Cudzołóstwo, Wszeteczeństwo, Nieczystość, Nierząd etc., które pismo zowie Uczynkami ciała”, „Kwestja o polygamii albo wielożeństwie”, dalej rozprawy o dobrych uczynkach, ołtarzach, obrazach (nabożnych oczywiście), organach, wreszcie ściśle dogmatyczne, któremi są: „Kwestja o zmartwychwstaniu” i „Kwestja, jeśli Maria Najświętsza może i ma być nazwana Panną”.

Radykalnym protestantem Gdacjusz nie był, owszem jego stanowisko teologiczne zbliża się w wielu wypadkach do katolickiego. W obronie tytuowania Matki Boskiej panną, kruszy kopję, a niektóre zagadnienia już wprost w tytule rozwiązuje w duchu katolickim, jak n. p. zagadnienie o ołtarzach, obrazach i organach w „Dyskursie Trojakim...”, w którym się z pisma Ś. i starodawnych nauczycieli kościelnych pokazuje, że My Luteranowie z katolikami w tej mierze przeciw Bogu i słowu jego nie występujemy, gdy ołtarze, obrazy i organy w kościołach naszych miewamy”.

Nauka chrześcijańska rozstrzyga również u Gdacjusza o zjawiskach życia codziennego, jak pojedynkach i pijaństwie. Musiały zaś być wówczas plagą, skoro po dyskursie daje jego kontynuację lub wręcz parę razy zabiera w jednej materji, jak przy pijaństwie, głos, ustalając nawet, ile można wypić bez obciążenia sumienia

grzechem. Dyskurs o pańskim i szlacheckim albo rycerskim stanie, to traktat o powinnościach szlachcica, z których pierwszą jest pobożność. Wogóle uczęszczanie do kościoła rad bardzo widzi autor u szlachty i na każdym kroku do tego zachęca.

Najciekawsze i najwartościowsze dzieła Gdacjusza, to bezwątpienia dzieła nabożne, — Kazania pokutne: „*Ardens irae divinae ignis*“ i postylla, przeznaczone dla szerszych kół czytelników. Nieobciążone balastem nieaktualnej już dziś naukowości, nieodarte dzięki temu z uczucia, przepełnione więcej, niż inne, obyczajowością, przemawiają do nas i jako dokument ówczesności i jako dokument gorącego serca autora. Talent też literacki „sługi słowa Bożego w Kluczborku“ świeci w nich, zwłaszcza w kazaniach pokutnych, największe triumfy.

„*Postilla popularis*“, zwana na Śląsku „Dacjuską“, to dzieło olbrzymie, mieszczące w sobie kazania, wygłaszane ludowi w niedziele i święta całego roku, napisane „prawie po prostu, że je każdy i największy prostak łatwo zrozumie“, jak już w tytule zapowiada autor. Kazania zaś, zawarte w „*Ardens irae divinae ignis*“ w liczbie sześciu, poświęcone są, wraz z osobniami przedmowami, panom śląskim, jedno magistratowi Kluczborka, wspomnianym księżom z Wilna, pochodzące z najcięższych chwil na Śląsku, przeżycone bólem i pełne krzyku, oburzenia, mówiące: pierwsze o zgodzie i niezgodzie, dwa następne o pokoju, czwarte, słabsze od poprzednich, o wzgardzie, piąte o wiecznym potępieniu, ostatnie o bluźnierstwie, — ciekawe dla mnóstwa charakterystycznych śląskich przekleństw, w niem przytoczonych, to jakby śląskie kazania sejmowe Skargi. Wytacza w nich śląski kaznodzieja grzechy ludu na widok publiczny i chłoscze nieumiłosierdzie, płonąc świętem oburzeniem. Kazania też te najwięcej z wszystkich pism autora *Postylli* pozwalają wglądać w ówczesne stosun-

ki na Śląsku, tak publiczne, jak i domowe (głównie). A musiało być w istocie zepsucie na Śląsku straszne wówczas, skoro z ust mu nie schodzi biadanie na pijaństwo, zbytek, marnotrawstwo i pychę, ateizm, cudzołóstwo, pojedynkomanję, tańce i skoro niektórym z tych plag poświęca jeszcze osobne rozprawki „Czemuż tedy rozkoszy światowej przestać nie chcemy? Czemu bankietujemy, tańczymy, między gawiedzią tuczybrzuchów Epikurskich radzi przesiadywamy i insze zabawy światowe wykonywamy?“ — woła w kazaniu trzecim, w którym pała świętym gniewem i ze skargowską zapamiętałością na grzechy uderza. Że ciosy jeden po drugim padają na biedny kraj, winą to grzechów, jakie się powszechnie rozpleniły. Przytaczając cytat stosowny z Pisma św., przechodzi długi rejestr grzechów, będących przyczyną nieszczęścia: „Wedle tego napominania Apostolskiego, póki się oni starodawni Przodkowie naszy rządźli, póty zakwitywała Rzeczpospolita! zakwitywała wiara; kwitnęły kościoły; kwitnęły Szkoły Teologów i Polityków zasiewki. Miasta zasię i Miasteczka, obyczajów, cnoty, mądrości, skromności i wstydu szafarniami bywały: a nie nadętości, nie ociętości, nie pijaństwa, obżarstwa, wszeteczeństwa, lekkomyślności, ani wszelakiego lotrowstwa i niepobożności, sromotnemi giełdami i nienasyconą odchłanią. Teraz wali się Rzeczpospolita; Religja rozkołatana ledwie nie upada. W czym wszystkim nie Boga, ale samych siebie winować mamy, a to z tej miary; iż Boga przed oczyma nie mając, swawolnie grzeszymy: a ono byśmy mieli w te prawie nędzne i mizerne czasy wszelakiej swejwoli i rozpusty, jakoż to są, o czym się już wyżej wzmianka natknęła, pijatyki, tańce, rozpustne bankiety, kiermasze i tym podobne zabawki poprzestać: mielibyśmy też w szatach i ubiorach mierności przestrzegać i odzieży strojnej doszczętu zaniedbywać. Nie mielibyśmy się wstęgami, Alomodami, i inne-

mi zbytmiemi i niepotrzebnymi strojami, jakich więc Młódź nasza obojej płci zażywać zwykła, galancić; Alebyśmy tropy Miniwitów, chodząc w wory się obłoczyć i głowy popiołem posypywać: a w cichości i pokorze Ś. pomnażać się mieli wedle onych słów Zbawicielowych: Uczcie się odemnie, żemci ja jest cichy i pokornego serca⁷⁾ (str. 49). Na innym znów miejscu w tem samem kazaniu trzeciem, zarzucając bałwochwalstwo, wiarę w zabobony, lekkomyślne przysięgi, „bramowanie” (obczernianie), fałszerstwo w kupiectwie etc, woła: „Godnibyście zaprawdę, kiedyby was Bóg według surowej Sprawiedliwości swojej; jako Sodomę i Gomerę, siarką i ogniem z nieba na wniwecz, w popiół i w iskry obrócił! Godnibyście zasię, mówię, kiedyby się ziemia otworzyła, a was dla takowych haniebných grzechów waszych, jako Core, Dathan, i Abiran, żywcem pożarła!” (49, 50).

Na Śląsk musiał się już wdzierać wtedy z zachodu modny sposób życia, przedstawiający się przedewszystkiem w stroju kobiet, w trzewikach na wysokich korkach, w trefieniu włosów, a nawet... dekolcie, na co też wyrzekła konserwatysta Gdacjusz, napominając „alamodki, które od wielkiej hardości nie wiedzą, jako włosy swe na głowach pleść i stawiać mają, albo że też niektóre jako chłopci włosy rozpuszczają: czupryny sobie jakieś na przodku czynią i Peruki noszą: drugie także Mężatki na poły tylko głowy nakrywają i czepce tak subtelne mają, że trudno, jeśli Pannami albo Mężatkami są rozeznąć”, że przez to „Boga wielce gniewają i przez to na karanie czesne i wieczne zarabiają”.

Przytoczyłem tych parę cytatów dla możności zobaczenia skrawka ówczesnej rzeczywistości śląskiej w zagniewanem słowie „bogomodlcy kluczborskiego”, a

⁷⁾ Pisownie unowocześniam, pozostawiając jednakże jej najcharakterystyczniejsze cechy.

następnie dla poznania jego języka i stylu. Że Gdacjusz gorącą był naturą, wrażliwą wielce na bodźce z zewnątrz i wojowniczą, świadczą również ustępy, w których się rozprawia z „szczekulami, ożuwcami, przyganiaczami i gryzoslawami, co go, jak mówi w liście X. Kwakboliński, zamieszczonym na końcu kazania III, „po kolendzie nosili”. Gdacjusz, jako polemista, występuje niemal że w każdym utworze, a broni się całym aparatem wiadomości. W kazaniu drugim „*Ardens irae divinae ignis*” rozprawia się z jakimś swoim krytykiem w wierszu łacińskim p. t. „*Ad Momum*”, napisanym zaraz i po polsku, znamienym bardzo, bo pozwala nam wglądać znakomicie w życie umysłowe polskiego Śląska. Tu też spotykamy się z tym osławionym wyrazem „*Wassérpol*”, który później w dziejach Śląska zaznaczy się osobną pozycją.

„Momus jest człek takowy, co wszystko bramuje: A języka na lżenie swego nie lituje. Jezlić by tedy praca ma smaczna nie była Nie szkaluj, proszę; bo ją sobie ulubila Gromadka ludzi dobrych, którzy mię słuchają, I kazania me w sercach swoich uważają. A zwłaszcza naszy Wasserpolowie nadęci Niech pierwej Polskie czytają Autory z chęci: I tak słów mych nie będą tradukować dumnie, A też ich szczekania są błahowazne u mnie. Umieszli Ty Momusie co większego nad mnie Możesz pracą na jawi twą pokazać snadnie Ja cie pewnie językiem mym ruszać nie będę: Czyniłbym to, niełaski iście nabędę U Boga, który karać zwykł oszczerce srodze Tak, że tkwieć będą w wiecznej naostatek trwodzi: I owszem jeszcze będę powinien dziękować Tobie, i pracę twą u świata komendować: Jeżli ku chwale Bożej wydasz co dobrego, Zkąd się Ludzie nauczą znać Boga prawego. Z tym cie Tworcy oddawam; Tenże cie niech swoim

Duchem rządzi! żebyś też mógł dowcipem twoim Służyć Panu, i Ludziom biednym w tej niskości A potem przyść do onych wiecznych wysokości. Życzęć tego szczerze Momusie zazdrościwy Wypowiedz mir szczypaniu próżnej chwały chciwy:

Bo król nieba tve słowa któremi bliźniego Tykasz, pisze wiedzieć masz, do Rejestru swego; Ktoćć potem na oczy wytknie ostatniego Sądu: gdy się bać będziesz Sędziego groźnego.”

W kazaniu trzecim dopiero wyjaśnia, że niektóre wyrażenia, jak skwierczeć, małżonkować się, żołądkować nie podobały się „naszym Wasserpolom“. Na dowód, że nie mieli słuszności, zbija ich zarzuty cytatami z dzieł „dobrych Polaków“.

Wiedzę Gdacjusz posiadał rozległą w zakresie historii, literatury, teologii tak z czasów współczesnych, jak i dawnych. Jak z rękawa sypie przykładami z dzieł, cytatami z pism religijnych, filozofów i pisarzy starożytnych, jak Arystotelesa, „sapientia“ Cyserona, Horacego etc. Oprócz znajomości starożytnych, literatury chrześcijańskiej, znał i literaturę polską, przytaczając parę razy, co prawda błędnie, wiersze Kochanowskiego, chwalać w przedmowie do kwestji o pojedynkach kaznodziejów papieskich, Starowolskiego i Rychłowskiego za prostotę stylu. Na innym zaś miejscu wygłasza pochwałę jej piękności, mówiąc, że „wszelki, co się Autorów Polskich zabawia czytaniem, wyznać i na to rad nie rad pozwolić musi, że polski język teraz tak jest wytarty i wypolerowany, iż kto w nim jest biegły, ten mowę swoją jak Grekowie, Łacinnicy, Niemcy i inni Narodowie łagodnymi i wdzięcznymi słowy niby farbiczkami niejakiemi upiększyć i ozdobić może“.

Erudytą Gdacjusz jest wielkim, brak mu natomiast głębi i własnego zdania w rzeczach zasadniczych. Każde zagadnienie rozwiązuje przy pomocy wielkiej masy cytatów i to typowo w duchu epoki i luteranizmu umiarkowanego. Przyznaje też szczerze, że te argumenty „nie są z mózgu mego uprzedzione; ale częścią z pisma Ś. częścią z Ksiąg Mężów Uczonych wzięte“. Ale to nic złego, bo według zacnego teologa Joh. Ludov. Hartm. (anna widocznie) „nie nowina to, że Filozof Filozofa, Teolog Teologa imituje, i z niego to, co mu do przedsięwzięcia jego służy, wypisuje.“ Przenikliwością i kry-

tycyzmem nie wykracza również poza przeciętny horyzont umysłowy ówczesnego inteligenta. Wyśmiewa n. p. scholastykę, zajmującą się niedorzecznymi zagadnieniami, których parę przytacza, a sam tkwi głęboko w zabobonach, wierząc święcie, że djabeł, przywołany niebacznie przez bezbożną klątwę, może się zjawić i wypełnić zawarty w niej postulat. Motyw diabła, zjawiającego się w różnej postaci w związku z czymś grzechem, najczęściej też spotykamy u Gdacjusza w formie przykładu dla wiernych.

Słuchaczy musiał czarować Gdacjusz siłą i żywością opowiadania, czyniąc w kazaniach rozliczne dygresje i przeplatając je (i dyskursa) mnóstwem anegdotek, wierszy i zawsze aktualnych cytatów, w czym jest nieodrodnym dzieckiem swego wieku.

Styl Gdacjusza nienapuszony, choć w epoce baroku żył i pisał, czasami pełen patosu, ale zawsze jasny i prosty, trafiający do prostaczków. Tem się też, gdzie może, chępli nasz pisarz. Nie psuje tej jasności moc cytatów i wierszy, głównie łacińskich, jakimi przeładował zwłaszcza rozprawki, bo odrazu tłumaczy je bardzo nieraz pięknie, dając często zamiast dosłownego przekładu parafrazę, względnie przysłowie o takiej samej myśli, co dany cytat. Ale zdań polskich nie szpeci wtrętami łacińskimi, co było wówczas modnem, albo, jeśli już użyje takich, to tylko jako wyrazów fachowych.

Język Gdacjusza nie jest tak plastycznym i obrazowym, jak Reja, niemniej jednak dużo w nim tężyzny, zwłaszcza, że autor nie krępuje się zbyt słownikiem, gromiąc w zapale grzechy i zdrożności dosadnymi wyrazami. Jakkolwiek wyrażen gwarowych — jak słusznie prof. Brückner zauważył — unika, sporą ich gromadkę wydobydziemy z jego pism. Oprócz przekleństw, przejętych przez Wasserpolów, jak powiada, z języka niemieckiego, a na gruncie polskim popo-

szczonych, jak gofundy, gotszendy, potem kordyjaki, Korfanty, S. Walanty w tobie, mamy i do dziś dnia typowe

w gwarze śląskiej obmowisko, opaterny, kawęczeć, rufijanka, mniej używane zwaziątek, przyganiacz, czytaniec.

Dr. Jan Wytrzens.

Życiorys proboszcza L. Jana Szersznika.*)

CZĘŚĆ I.

Pochodzenie i młodość.

Jan Antoni Szersznik, ojciec Leopolda, urodził się dnia 24 maja 1715 roku w Skoczowie i był komisarzem okręgowym

*) Rozpoczynamy druk pracy Dr. Jana Wytrzensa o życiu i dziełach Jana Leopolda Szersznika, wybitnej osobistości swego czasu. Gorliwa jego praca nad kulturalnym i materialnym podniesieniem Cieszyna i drogiego mu Śląska wydała obfity plon. Długi szereg takich budowli, jak: kościół jezuitki, klasztor Elżbietanek, ratusz, browar miejski — a nadewszystko muzeum i biblioteka zawdzięczają swoje powstanie pracy Szersznika. Zasłynął jednak w pierwszym rzędzie jako pedagog i wychowawca młodego pokolenia. Był on pierwszym nadzorcą szkół ludowych na Śląsku od roku 1804 i odtąd — jak zaznacza dyr. Franciszek Popiołek w swoich „Dziejach Śląska” — „posiadamy dokładne sprawozdanie o stanie szkolnictwa w Cieszyńskim”. Na czasy te przypada okres germanizacyjnej pracy w szkolnictwie. „Dzieci, mówiące w domu po polsku, przychodziły do szkoły, gdzie im dawano do rąk podręczniki czeskie, na nich zaś miały się wprawiać w niemieckim języku. Przeciw temu występował ks. Szersznik, który, jako znakomity pedagog, umiał cenić niedorzeczność takiego systemu szkolnego. W swoim referacie o stanie szkół pisał on: „Dalszą ważną przeszkodą w nauce są podręczniki w czeskim języku. Śląsko-polski dialekt jest, z wyjątkiem dystryktu frydeckiego, we wszystkich innych okręgach językiem ludności i dlatego czeskie książki są dla dzieci większą częścią niezrozumiałe; nauczyciel jest zmuszony od słowa do słowa na język polski tłómaczyć i zabierać nauce mnóstwo godzin” (Franciszek Popiołek: „Historja Śląska”). To też nic dziwnego, że ten wybitny mąż, „przez zupełnie bezstronne, czystopatriotyczne postępowanie, nie żądając nigdy korzyści ani zysku, zjednał sobie powszechny szacunek i szczerą sympatję całego pokolenia, w którego służbie stargał życie swoje. (Dr. Dybowski — w „Gwiazdce Cieszyńskiej” z r. 1899, rocz. 47.)

w Cieszynie. Ojciec jego, Andrzej Szersznik, był nadleśniczym książęcym. Żona Jana Antoniego Szersznika, matka Leopolda, z domu Joanna Alojza Polzerówna, urodziła się dnia 24 czerwca 1727 roku w Cieszynie, gdzie ojciec jej był urzędnikiem skarbowym. Jako córka znakomitej rodziny, wyniosła z domu dobre wychowanie i gruntowne — jak na owe czasy — wykształcenie. Doskonale grała na fortepianie oraz władała językiem łacińskim w tym stopniu, że swobodnie korespondowała po łacinie z bratem Jerzym, o czem syn w swej biografii wspomina. Niestety umarła w młodym jeszcze wieku, w 1754 roku, przy piątym porodzie.

Po śmierci pierwszej żony ożenił się ojciec Leopolda po raz drugi z Józefą, Filipiną Jagoszówną, córką mieszczanina cieszyńskiego. Dzieci z pierwszego małżeństwa zmarły wszystkie z wyjątkiem najstarszego syna, którym był właśnie Leopold, Jan, urodzony w Cieszynie dnia 3 marca 1747 r. w domu przy ul. Głębokiej i placu św. Krzyża obok kościoła parafjalnego. Na miejscu tem wznosi się dziś narożna, czteropiętrowa kamienica. Nad drzwiami głównymi tego domu, zbudowanego przez dziekana cieszyńskiego Henryka Samuela Wolfa z Brzeziny, znajdował się napis łaciński: *Malo invidiam quam misericordiam* (Wolę nienawiść, aniżeli litość).

Od siódmego roku życia Leopold pozostawał pod opieką ojca, który, dbając o staranne wykształcenie syna, sumiennie pełnił swoje obowiązki ojcowskie, udzie-

lając mu nauki czytania, pisania i rachunków, zabraniając jednocześnie zabawy z obcemi dziećmi. Zakaz ojcowski przykuł młodego chłopca do czterech ścian pokoju. Trawiony gorączką swobodniejszego życia poza domem, wymykał się niejednokrotnie w czasie nieobecności ojca na ulicę lub do ogrodu i tu swobodnie hasał wśród rówieśników. Niewinne te przekroczenia zakazu ojcowskiego niejednokrotnie odpokutował. Cóż miał robić, aby uniknąć kary? Przyzwyczajony z natury do posłuszeństwa, postanowił szukać rozrywek w domu, co prawda mniej porywających, ale silnie przykuwających jego uwagę. W dwu wielkich szafach ojcowskiego pokoju znalazł wielki zasób książek najróżnorodniejszej treści, które zaczął przeglądać i czytać. Największe wrażenie na jego umysł wywarły biografie pustelników i misjonarzy, ozdobione mnóstwem ilustracji. Życie i czyny tych mężów wzbudziły w nim pociąg do życia pustelniczego; w umyśle planował podróż do Chin.

Ojciec, chcąc mu dać poważniejszego zajęcie, postarał się dla niego o nauczyciela języka francuskiego. Nauczyciel ten był to człowiek już starszy, krótkowzroczny, niewiele dostrzegający nawet przez okulary, wskutek czego stał się łatwą ofiarą niewinnych oszustw Leopolda. Zadane lekcje odczytywał z łatwością, wprowadzając w błąd nauczyciela, który naiwnie cieszył się ze świetnych rezultatów młodego adepta. Kres takiej nauce położył nareszcie sam ojciec, który, chcąc przekonać się o postępach syna, sam zaczął go egzaminować i ze zdziwieniem spostrzegł wielkie luki w jego wiedzy. Biedny nauczyciel otrzymał natychmiastową odprawę, Leopold zaś nowego, wymagającego nauczyciela, który jednak nie potrafił wzbudzić w nim większego zamięłowania do studiowania tego języka. Leopold dotkliwie odczuł cios, wymierzony poprzedniemu pedagogowi. W późniejszym wieku przez pilne studia

nad literaturą francuską przyswoił sobie znajomość tego języka do tego stopnia, że mógł czytać ze zrozumieniem dzieła francuskie, — biegle jednak nigdy nim nie władał.

Do szkoły miejskiej ojciec wahał się oddać syna, a to z tego powodu, że nie było w niej ani karności, ani porządku. Oddał go do szkoły prywatnej, w której uczył czytania i pisania nauczyciel Hiks, człowiek bardzo sumienny i doskonały pedagog. Język łaciński studiował Leopold w domu pod kierunkiem świeckiego księdza. Po dwu latach studjów — wstąpił do pierwszej klasy, gramatycznej — gimnazjum cieszyńskiego. Początkowo cieszyńskie gimnazjum jezuickie miało tylko cztery klasy, później — w roku 1714 — rozszerzono je o jeszcze dwie, t. j. retorykę i poetykę. Dopóki były tylko cztery klasy, uczył w nich jeden profesor — w każdej klasie godzinę dziennie. Aby zatrudniać wszystkich uczniów razem, umieszczano ich w dwu do siebie przylegających pokojach, w każdym po dwie klasy. Drzwi były stale otwarte, by uczniowie tym sposobem korzystać mogli ze słów nauczyciela. Tego rodzaju postępowanie nie mogło być korzystne dla nauki, świadczy jednak o tem, w jaki sposób starano się zapobiegać brakowi nauczycieli. Mimo tego rodzaju metody postępy uczniów były dostateczne, jak o tem wspomina sam Szersznik.

Prawda, że wówczas jeszcze nie wykładano tylu przedmiotów, co później. Język łaciński był przedmiotem głównym i nim posługiwano się w wykładach. Prócz niego uczono jeszcze historii, geografji i coś niecoś rachunków. Wielkie trudności sprawiało uczniom dosłowne recytowanie długich ustępów z historii, do czego zmuszał ich profesor w czasie egzaminów — i nad czem białął sam Szersznik. Wiele przykrości swem bezwzględem postępowaniem sprawiał ucz-

niom nauczyciel poetyki, wykładający rytmikę, która dała się we znaki i Szersznikowi. Nauczyciel wykladał niezrozumiale, łatwo popadał w złość, policzkował i bił, zamiast objaśniać i napominać. Nic też dziwnego, że uczniowie przyjęli z zadowoleniem wiadomość, że zachorował i musi opuścić zakład. Jego następcą, człowiek poważny i szanowany przez wszystkich, naprawił w krótkim czasie to, co popsuł jego poprzednik. Szersznik należał do uczniów najzdolniejszych i nauczyciele poetyki zachęcali go, by wstąpił do zakonu Jezuitów. Lecz plany jego i zamiary były inne. Nakrywały się one z jego młodzieńcami, samotnymi marzeniami o cichem życiu pustelniczym i działalności duszpasterskiej misjonarzy. Myśl o podróży do Chin odżyła. Oświadczył swym nauczycielom, że ma zamiar zostać księdzem świeckim, nie zaś zakonnym. Spodziewał się, że jako kapłan świecki prędzej doczeka się realizacji swych planów.

Po ukończeniu sześciu klas w Cieszy nie udał się Szersznik do Ołomuńca na studia filozoficzne. Musiał przejść dwa lata studjum filozoficznego, zanim mógł się zapisać na teologję. Cieszył się wielce, że nastał dla niego czas wolności, lecz jakie było jego zdziwienie, gdy zaprowadzono go do konwikt! Wyznał później, że konwikt w Ołomuńcu był najprzyjemniejszym miejscem pobytu. Prezesem konwiktu był Franciszek Zeno, uwielbiany przez Szersznika dla jego charakteru i serdecznego obchodzenia się z młodzieżą. Zeno posiadał wiedzę matematyczną, umiał rysować i rozumiał się na sztuce inżynierskiej. Uzdolniony w tym kierunku, mógł uczniom udzielać wiadomości z zakresu inżynierji, do której Szersznik czuł szczególne upodobanie. Często wręcz wyprowadzał Zeno uczniów, wolnych od zajęć szkolnych, do ołomunieckiej twierdzy, wymierzał i objaśniał jej urządzenia, a po powrocie do konwiktów kazał im rysować to, co zaobserwowali. Takie wy-

cieczki zapobiegały próżnowaniu uczniów i wzbogacały ich wiedzę.

Najpilniejszym uczniem prezesa był Szersznik. Dla pogłębienia swej wiedzy otrzymał od niego pięciotomowe dzieło matematyczne oraz wiele innych książek o treści bardzo zajmującej. Między na-



Fotografia obrazu Szersznika, znajdującego się w Muzeum Szersznika.

uczycielem a uczniem dochodziło do poufnych rozmów, dotyczących przyszłych planów Szersznika, jako że kończył się drugi rok jego studjów filozoficznych i niebawem musiał opuścić zakład. Podczas rozmów tych nadmienił raz prezes, że Szersznik nadawałby się doskonale na członka zakonu. Na to odpowiedział mu Szersznik, że Jezuitą być nie chce, lecz księdzem świeckim, gdyż ułatwi mu to podróż do Chin. Prezes zaznaczył, iż cel ten osiągnie prędzej jako członek zakonu. Słowa te spowodowały nagłą zmianę postanowienia i Szersznik zdecydował się

zostać jezuitą. W dniu 9 października 1764 r., gdy ogłoszono mu, że został magistrem filozofii (*primus philosophiae magister*), wstąpił do zakonu Jezuitów, gdzie przetrwał aż do jego zniesienia (1773 r.). Uprzejmość, panująca w życiu zakonnym, ścisły porządek, do którego stosowano się powszechnie, wywarły na nim takie wrażenie, że zapomniał pożegnać się z ojcem, który przybył właśnie do konwiktu, żeby odwiedzić syna, co ten jednak chętnie mu przebaczył, ciesząc się, że jego syn tak bardzo polubił swój przyszły zawód.

Pobyty Szersznika w zakonie.

Z Ołomuńca odesłano 17-letniego Szersznika do nowicjatu w Bernie, gdzie przebył dwa lata próbne. Z Berna wysłano go do Brzeżnic w Czechach, aby tam pogłębił swoje studia humanistyczne, konieczne do zawodu nauczycielskiego. W szczególnej pamięci zachował Szersznik z tego okresu czasu profesorów języka łacińskiego i greckiego, których działalność pedagogiczną poddał bystrej krytyce. Lekcje profesora języka greckiego były bardzo nudne i nużące uczniów. Codziennie zadawał uczniom wiele źródeł słów, niezwiązanych z tekstem autora, — w sobotę zaś odpytywał zadane lekcje, wymagając od uczniów pamięciowego opanowania materiału. Tego rodzaju nauka obarczała nadmiernie pamięć uczniów, dawała zaś nikłe wyniki.

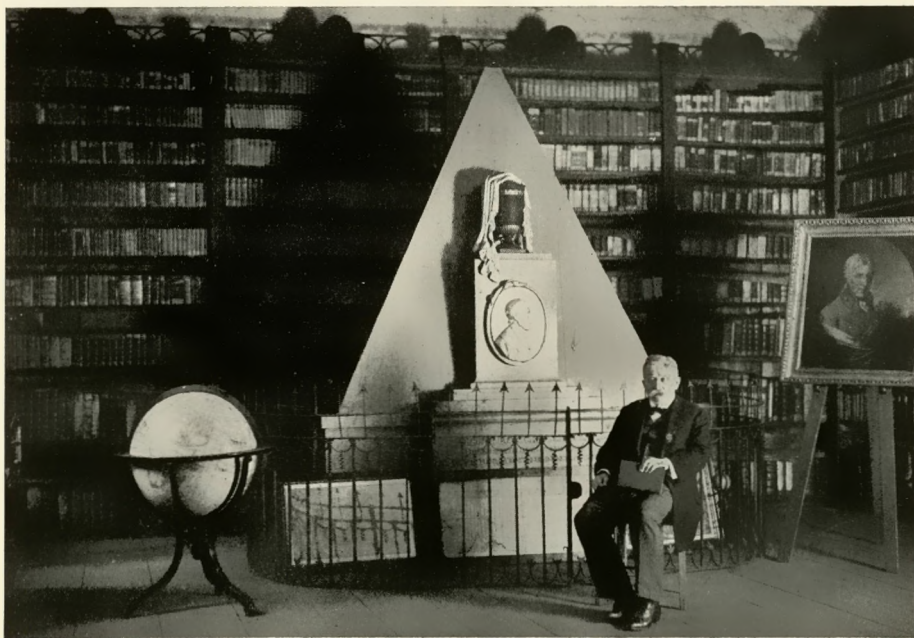
Szersznik ratował się analogją, porównując źródłosłowy zadanych wyrazów greckich — ze źródłosłowami wyrazów innych, znanych mu języków, a zwłaszcza francuskiego. Nie lepszą metodą kierował się profesor języka greckiego przy nauce akcentów. W Pradze zakupił sobie Szersznik sporo greckich książek i kształcił się przeważnie sam. Pomiędzy zakupionymi książkami znalazł komedję Arystofanesa „Chmury“. Żarty i dowcipy tej komedji tak mu się podobały, że, śmiejąc się głośno i klaszcząc w ręce, wołał z Ho-

racjuszem: „*In vacuo laetus sessor plausorque theatro*“ (Człowiek, co siedział w próżnym teatrze i klaskał pełen radości). Co się tyczy nauki języka łacińskiego, to uważał się na zbyt szczupłą lekturę. W muzeum tamtejszem znajdował się wprawdzie spory zbiór dzieł łacińskich, lecz do nich Szersznik nie miał przystępu. W zakres programu szkolnego języka łacińskiego wchodziła lektura baśni, opowieści, kazań, elegij, eklog, epepei, tragedij i jednej dłuższej mowy. Treść każdego z przeczytanych utworów znać musiał każdy doskonale. Z biblioteki łacińskiej wydawano jedynie te książki, które były konieczne do nauki szkolnej, wskutek czego Szersznik nie mógł zaspokoić w całej pełni zainteresowania swojego w tym kierunku. Lektura Liwjusza sprawiała mu tyle rozkoszy, że życzył sobie w głębi duszy, żeby wszyscy autorowie byli prozaikami. Z przerabianych poezyj Owidjusza najbardziej podobały mu się *Epistulae Heroidum* (listy heroin). Eneida Wirgiljusza zrobiła na nim silne wrażenie. Ód Horacego profesor łaciny nie lubił, przeto nie czytano ich wcale, a egzemplarze tychże leżały w bibliotece, zainwentaryzowane jako eklogi. Jakież więc było zdziwienie Szersznika, gdy w rok później zakupił poematy Horacego i odczytał je w całości!

W kolegach zakonnych istniał zwyczaj, że prowincjał zakonu przybywał corocznie do każdego kolegium i badał zainteresowania naukowe każdego słuchacza. Gdy Szersznik oświadczył mu, że chciałby poświęcić się studjom historii i języka greckiego, zarządził, żeby wyjechał do Pragi i tam specjalnie studjował ulubione przedmioty. Przybywszy do Pragi (1768 r.), przydzielony został do pomocy bibliotekarzowi Karolowi Charmelowi. Tak zaraz na początku nowych studjów nadarzyła się Szersznikowi nielada sposobność korzystania z biblioteki, z której też z całą skwapliwością skorzystał. Wszystkie wolne chwile spędzał on

w bibliotece i poznał ją tak gruntownie, że wiedział, gdzie znajduje się każde dzieło. Nic też dziwnego, że praca w bibliotece zaabsorbowała mu tyle czasu, że w ciągu sześciu pierwszych miesięcy swego pobytu w Pradze nie wyszedł ani razu i nie kwapił się wcale poznać zabytków sztuki, tak licznie w nim rozsianych.

Zupełnie inaczej odnosił się Szersznik do profesora matematyki wyższej — niejakiego Jana Tissanka. Ten wyładał bardzo szybko i nie zważał na to, czy słuchacze rozumieli jego wywody. Zwykle działo się wręcz przeciwnie. Z powodu nawału materiału słuchacze nie mieli czasu powtórzyć i przerobić wyłożonego ma-



Fragment biblioteki w Muzeum Szersznika wraz z jego pomnikiem. — Na tle pomnika widzimy dr. Jana Wytrzensa, autora niniejszego artykułu i kustosa tego Muzeum od r. 1888.

Tę wrodzoną skłonność Szersznika do bibliotekarstwa powiększał profesor Jan Diesbach, wykładający wówczas historję kościelną. Ten zaznajomił go ze sztuką czytania starych tekstów, poznawania monet i minerałów, a nadewszystko wskazywał na wartość rękopisów i druków, dotyczących historii powszechnej i czeskiej. Obcowanie z Diesbachem uważał Szersznik za wielkie szczęście i bardzo je cenił.

terjału. Profesor wyładał Euklidesa i Archimedes, przerabiał działy poszczególne matematyki według Caille'a, następnie zaś zabrał się do astronomji, nie wyłożywszy poprzednio mechaniki. Do tej nauki brakowało słuchaczom podręczników. Wprawdzie w bibliotece dyrektora były podręczniki astronomji, lecz Tissanek nie chciał zwracać się do niego w tej sprawie, gdyż obawiał się, że ten zabroni mu wykładania astronomji z po-

wodu niedostatecznego przygotowania do niej uczniów. Mimo tego jednak, że słuchacze mieli jeden tylko podręcznik, nie zawahał się wyklądać przedmiotu. Nic więc dziwnego, że powszechnie go nie rozumiano. Pewnego razu chciał egzaminować Szersznika, lecz ten odmówił odpowiedzi, zaznaczając, że nie jest przygotowany. Tissanek czuł się dotknięty tą odpowiedzią i wyraził swoje niezadowolenie wobec innych nauczycieli. Na nic nie zdały się wysiłki Szersznika, który, chcąc profesorowi dogodzić, całymi dniami przesiadywał nad matematyką. Tissanek nie polecił Szersznika prowincjałowi, a nadto za karę przeniesiono go, jako nauczyciela drugiej klasy gramatycznej do Chebu, gdzie spędził dwa lata (1770—1772). Ta okoliczność spowodowała, że ukończył studia teologiczne później i nie otrzymał jeszcze święceń. gdy papież Klemens XIV zniósł zakon Jezuitów (1773).

Po powrocie do Pragi zapoznał się Szersznik z Franciszkiem Pubiczką, sławnym historykiem czeskim i z innymi wybitnymi pisarzami, do których należeli: Putzlacher, Telzel, Duchowski i inni. Z pomocą Pubiczki uzyskał dostęp do różnych archiwów i bibliotek. Wtedy to Towarzystwo literackie im. księcia Jabłonowskiego w Lipsku ogłosiło konkurs na rozprawę: Skąd przybyli Słowianie? Za namową Pubiczki, który dostarczył Szersznikowi materiału (*Scriptores historiae Bizantinae*), zabrał się do pracy. Po upływie sześciu miesięcy odesłał gotowy elaborat, za który otrzymał 30 dukatów nagrody i medal. Prócz tej pracy wysłał do Lipska następujące rozprawy: Jakim narodem byli Słowianie? Jakim narodem byli Hunowie? De lacu Musiano (O jeziorze muzjańskim). Jaki los spotkał rozprawy te, nie wiadomo. Odpis pierwszej i ostatniej zachował Szersznik u siebie. Uzyskana nagroda wpłynęła korzystnie na ukształtowanie się osobistych stosunków Szersznika. Pozwolono mu dowoli ko-

rzystać z biblioteki. Egzaminy wykazywały, że nie zaniedbywał także i obowiązkowych studjów. Dzięki Pubiczkce uzyskał dostęp do archiwum metropolitalnego, które udało mu się w zupełności uporządkować. Po skończonej pracy zaproponował prowincjałowi swego zakonu, by zgromadził wszystkie cenniejsze dzieła wszystkich kolegów w bibliotece Klementeńskiej. Otrzymawszy pozwolenie, miał realizować swe przedsięwzięcie w jesieni i już korespondował w tej sprawie z przełożonymi poszczególnych kolegów, gdy wszelkie jego poczynania unicestwiła wiadomość o kasacie zakonu Jezuitów.

Działalność Szersznika po rozwiązaniu zakonu Jezuitów.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich w dniu 3 maja 1774 r. postanowił Szersznik pozostać w Pradze. Ofiarowano mu posadę pomocnika w bibliotece Klementeńskiej z miesięczną pensją 20 fl., z obowiązkiem sporządzenia katalogu rękopisów. Z ukończeniem pracy — stracił niestety posadę i jego dalszy pobyt w Pradze stawał się wątpliwy. W tem ciężkiem położeniu ratowali go przyjaciele, udzielając mu zapomogi, która jednak w żaden sposób nie mogła wystarczyć na utrzymanie, nie mówiąc już o zakupnie nowych książek. Zresztą Szersznik wzдрыgał się żyć na koszt swych przyjaciół. Ubiegał się więc o posadę nauczyciela poetyki, potem o posadę pomocnika w obserwatorium, lecz w obydwu wypadkach bez skutku. Zdawało się, że będzie musiał opuścić Pragę i przyjąć ofiarowaną mu posadę wychowawcy syna starosty Bienenberga w Sadowie. W tem położeniu z radą przyszedł mu znów jego przyjaciel Putzlacher. Za jego to namową miał Szersznik zająć się wydawnictwem utworów pisarzy czeskich na podstawie materiałów z biblioteki kapituły św. Wita, a mianowicie dzieła: „Cosmas Pragensis“ i „Continuatores“; miał wyzyskać

również warjanty, odnoszące się do tekstu utworu, dodatki wszelkiego rodzaju i rękopisy. Dla zrealizowania tego projektu Putzlacher gotów był udzielić wydawcy pożyczki w kwocie 1000 fl. Rada ta podobą się Szersznikowi, lecz wahał się przyjąć zadatek od przyjaciela, który, zdaje się, sam zaczął wątpić w wykonanie projektowanej pracy. W ostateczności Szersznik pracy zaniechał i zdecydował się wyjechać z Pragi.

Nim opuścił Pragę, przygotował do druku kilka prac, napisanych po łacinie. Część tychże wysłał p. Bornowi, resztę zatrzymał u siebie. Prace te zaginęły w roku 1789 w czasie pożaru Cieszyna. W tym czasie ogłosił również drukiem dwa starsze rękopisy. Jeden z nich nosi tytuł: „*Balbini dissertatio apologetica pro lingua slavica*” (Obrona języka słowiańskiego). Wydawcą rękopisu był Pelzel, który uchodził również za jej autora; Szersznik na podstawie autentycznego rękopisu, który posiadał, dowiódł, że autorem jej jest Balbinus, co zaznaczył w tytule wydrukowanej dysertacji. Ponieważ obrona zawierała kilka ostrych zwrotów przeciwko panującej rodzinie Austrii, wstrzymano jej wydawnictwo, a odbitki skonfiskowano. Na postąpienie takie wpłynął również i ten fakt, że dziwnym zbiegiem okoliczności obozowały wtedy przed Pragę tłumy niezadowolonych wieśniaków i policja podejrzewała wydawcę, iż pozostaje w łączności z nimi. Skoro się jednak okazało, że dzieło wydrukowano za pozwoleniem cenzury, oraz przyjęto do wiadomości załączone do dzieła uwagi, cofnięto pierwotny zakaz sprzedaży. Cena sklepową odbitki wynosiła 30 gr., w czasie jednak zakazu płacono za egzemplarz pół, a nawet całego suwerena.

Drugim rękopisem, wydanym wówczas przez Szersznika, były „*Poemata ad Vladislaum II, regem Bohemiae*” (Poematy na cześć Władysława II, króla Czech). Rękopis ten, wydany na cienkim perga-

minie, pisany był czerwonymi i złotymi literami, przyczem oprawa była bardzo ozdobna. Prócz tych rzeczy oddał jeszcze do druku trzy następujące rękopisy: 1. *Scriptores S. J. provinciae Bohemiae* (Pisarze zakonu T. J. prowincji czeskiej; tłumaczył na język niemiecki Pelzel); 2. Portret Sinapiusza i jego biografia; 3. *De doctis Reginaehradecensibus* (O uczonych ze Sadowy). Po dokonaniu tych prac wyjechał do Sadowy. Nie znalazł w mieście tem ani książek, ani też ich miłośników. Starosta, zajęty sprawami urzędowymi, niewiele miał czasu, aby się starać o książki dla niego — dał mu jedynie do zrecenzowania starożytne dzieje Czech, pisane po niemiecku. Szersznik jednak nie podjął się tej pracy z powodu tego, że nie władał jeszcze należycie językiem niemieckim, gdyż dotychczas posługiwał się jedynie językiem łacińskim. Zresztą skłonność jego do historii zaczynała zanikać pod wpływem towarzystwa oficerów-inżynierów, z którymi Szersznik przestawał bardzo często. Rosło zamiłowanie do matematyki. W zamian za pożyczony rękopis — żąda od Pelzela podręcznika matematyki, co tenże czyni natychmiast, przysyłając mu podręcznik astronomji francuskiego autora de la Lande'a. Wskutek tak niedogodnych warunków dla pracy postanowił Szersznik opuścić Sadowę, gdy niespodzianie zachorował i musiał pozostać jeszcze przez trzy miesiące. O chorobie tej donosi szczegółowiej przyjacielowi, radcy Hermanowi, zaznaczając, że cierpiał w młodości na podagrę i odziedziczył ją po dziadku. Do 27 roku nie chorował wcale — później nawiedzała go co siedem lat, wkońcu cierpiał corocznie. Choroba trwała czasami 3 miesiące. Kurując się, nie jadł od pięciu lat mięsa, używał tylko potraw mącznych, nie pił kawy ani czekolady. W Sadowie leczył go lekarz garnizonowy, za kurację tę jednak musiał Szersznik zapłacić gotówką. Nie posiadając jej, musiał sprzedać swoje najcenniejsze dzieła, a pie-

niądzmi, uzyskanemi ze sprzedaży, uregulować zaległość u lekarza.

Wiele trudności na wypadek, gdyby chciał opuścić Sadowę, sprawiał mu spory zbiór książek, który posiadał, a który utrudniał niezmiernie podróż. Korzystając z grzeczności biskupa J. Kaizera, złożył książki u niego, a wzamian za tę przysługę ofiarował mu dwa cenne rękopisy, jeden grecki a drugi łaciński. Prócz tego w dowód wdzięczności — życzliwemu dobrodziejowi zakonu Jezuitów — dodał jeszcze oryginalny łaciński rękopis, przedstawiający historję prowincyj Czech. Biskupowi-kanclerzowi Bened. Stöberowi chciał również podarować cenne rękopisy z XIV wieku, pisane na pergaminie, które odziedziczył w spadku po przyjacielu Duchowskim, lecz ten daru nie przyjął. Rękopisy zawierały cenny materiał do historii Czech. Z powodu odmowy biskupa-kanclerza Szersznik pozostawił je w Sadowie, skąd je sobie później odebrał. Nie mając widoków powrotu do Pragi, postanowił ubiegać się o objęcie posady w gimnazjum w Cieszynie, tem więcej, iż namawiał go do tego gorąco ojciec. Prawie równocześnie otrzymał zaproszenie byłego prowincjała Prowina do objęcia posady kapelana wojskowego w pułku grenadierów w Dreźnie. Zawahał się, co wybrać, Cieszyn czy Drezno, wreszcie zwyciężyła miłość stron ojczystych i wybrał Cieszyn. Zrozumiał wtedy czar, zamknięty w słowach poety: „*Nescio, qua natale solum dulcedine cunctos ducit et immemores non sinit esse sui*“ (Dziwną jakąś słodyczą przywiązuje do siebie każ-

dego ziemia ojczysta i nie pozwala zapomnieć o sobie.) Odjechał więc do Cieszyna w listopadzie 1775 r. Wkrótce jednak żałować miał powziętej decyzji. W drodze z Sadowy do Cieszyna zatrzymał się, stosownie do życzenia ojca, w Opawie, aby tam przedstawić się osobiście urzędnikom i poprosić ich o pomoc w uzyskaniu posady w Cieszynie, tem bardziej, że dotychczas, spełniając wolę ojca, nie wniósł jeszcze pisemnej prośby o jej uzyskanie. Okoliczność ta miała wpłynąć niekorzystnie na obrót sprawy. Urzędnicy przyjęli Szersznika niezbyt uprzejmie, a zwłaszcza radca Asole, który wyraźnie zaznaczył, iż na miejscu jest sporo innych kandydatów, którzy mogą ubiegać się o posadę w gimnazjum w Cieszynie. Szersznik zaznaczył, iż sam pochodzi z Cieszyna, prócz tego ma już praktykę w tym zawodzie oraz wykazał już dobitnie dowody swej wiedzy. Tu powołał się na nagrodę i medal, otrzymany od towarzystwa literackiego za naukową działalność. Mimo tego jednak posady tym razem nie otrzymał. Rząd zwrócił się z zapytaniem do profesora-humanisty w gimnazjum cieszyńskim, czyby w dalszym ciągu nie zechciał sprawować funkcji i profesora i dyrektora konwiktów, na co tenże zgodził się z radością. Odmowa dotknęła dotkliwie Szersznika, tem więcej, że przez krok swój stracił możność ubiegania się o pewną posadę kapelana w Dreźnie oraz odrzucił propozycję drugiej posady, jaka mu się w tym czasie nastręczała, mianowicie posady pomocnika obserwatorium w Pradze.



Z A L E W.

F R A G M E N T.

Naładowali stemple na wózek i jęli go popychać z wysiłkiem.

Jechać musieli ostrożnie, bo nierówny tor wstrząsał ładunkiem, a nadmierna długość stempli przeważała go łatwo i co raz przednia lub tylna para kół wyskakiwała ze szyn. Minęli w ten sposób tamę.

W pewnej chwili doleciał ich poprzez turkot kół daleki, raptowny szum, a równocześnie spostrzegli, że światła wszystkich uwieszonych lamp drgnęły gwałtownie.

Wstrzymali wózek, wlepili oczy przed siebie.

— Cóż to było? — zapytał Kopoczek.

— Cicho! Poczkejcie! — syknął Ligoń i wyciągnął dłoń na znak, by tamci nie przeszkadzali.

Wytężyli słuch. Z głębi chodnika, od strony przodka, dochodził ich jednostajny, wzmagający się szum.

— Pierona! Co to może być?... Czyby wyrwało ścianę?... Posłuchajcie!...

Istotnie. Szum dalej się wzmagał. Przechodził powoli w dudniące wycie, głuche i puste, jakby z olbrzymiej beczki wybiegające. Chwilę jeszcze słuchali, przechylając głowy w kierunku tamtego głosu. Nareszcie Ligoń zrozumiał.

— Jezus, Maryjo! To woda!...

— Woda!... — powtórzył Kopoczek i za głowę się ułapił.

Karlik i Smelik skulili się, uchwycili kurczowo wózka.

Woda wyparła ścianę! Teraz się wywala do sztolni i na chodnik! Za chwilę tu będzie!... Zatopi ich!...

— A w „Edmundzie“, w upadzie są ludzie! — krzyknął znienacka Karlik.

— Co robić? — wymamlał Kopoczek.

Przeleciało wszystkim przez myśl, by uciekać!... Uciekać, jak najrychlej! Woda przyleci, straszna, dzika, pochłonie ich!... Uciekać za tamę i drzwi za sobą zatrzasnąć, rygle zasunąć, śruby zakręcić!... Inaczej pogoni za nimi, wszystkich ludzi w „Edmundzie“ zatopi!...

— Ale tam zostali Wierba i Hanslik! — opamiętał ich bełkot Ligoń. — Oni ta zostali! Tych naprzód retować!...

— Retować! — powtórzyli wszyscy w myślach. — Jezus, Maryjo! Tam śmierć!... Tam śmierć!...

— Pójdźcie! — wykrztusił Ligoń i odwrócił się do tamtych trzech. Był błydy. W oczach tliły się zimne płomienie. — Musimy ich retować! Ty... — tu poszukał oczami, kogo wybrać — ty, Smelik, leć ku tamie!... Bydziesz stoł przy dwierzach!... Przyrządzaj je, by je potem można było zamknąć!... Ale nie zamykaj rychli... choćby już woda leciała... aż wszyscy wrócimy!... Rozumiesz?...

Szum się wzmagał. Światła pod stropem chybotały się teraz bez przerwy, bo jakiś dławiący wiew leciał po chodniku.

Smelik zawrócił i pognął w kierunku tamy.

— A my, chłopie, idziemy!... — rzucił jeszcze Ligoń i nie patrząc za siebie, jął biec naprzód. Za nim Kopoczek i Karlik. Dalekie wycie pęczniało, rosło, zbliżało się do nich. Zrozumieli, że woda wypełniła już odcinek sztolni, zamkniętej tamą, a teraz naprzeciw nich pędzi chodnikiem. Nie zważali na nic. Ligoń jeno wytrzeszczał oczy, by na czas ujrzeć wodę i tamtych za sobą ostrzec. Uskoczyć jej muszą, bo inaczej z nóg zwali. Ale gdzie tamci dwaj?... Żyją jeszcze?...

— Woda!... — krzyknął znienacka i zatrzymał się. Poleciał spojrzeniem po

stemplach. U stropu wisiała rura, biegnąca do przodka. Podskoczył, wyrzucił ramiona, rozczapierzył palce i uwiesił się rury. Podciągnął nogi i teraz się kołysał. Odrzucona lampa zgasła. Nie było trzeba, kiedy tamte pod stropem świecą.

To samo uczynił Kopoczek. Spadł. Wtedy Karlik podbiegł, obłąpił za nogi. — Jeszcze roz! — krzyknął.

Kopoczek odbił się, a podparty ramionami Karlika, uczeplił się rury.

Teraz Karlik. Zanim skoczył, spojrzał. Na kilka metrów przed nim przewalał się olbrzymi, zjeżony wał wodny. Ryczał przeciągle. Opętany wściekłością, leciał szybko, a bryzgi łamanych fal łyskały w świetle, jak kłapiące zębce niesamowitego potwora. Na grzbiecie niósł połamane stemple, prał nimi o ściany, obrywał kawały węgla.

W ostatniej chwili Karlik podskoczył. Pod nogami przewaliła się czarna, rozbełtana, rycząca topiel. Pluła mętną pianą na bosc stopy jego. Ukąsić pragnęła, w swój oszalały wir wciągnąć. Łomot drżących stempli plątał się w grzmocie wody. Karlik, ogłuszony chaosem skołtunionych krzyków, patrzył spokojnie w lecącą burzę. Opanował się. Serce dygotało ze wzruszenia, lecz nerwy trzymał już na uwiezi. Nie zastanawiał się, jak wróci, lub czy wogóle wróci poza tamę. Chodziło mu tylko o Wierbę i Hanslika.

Przed nim trzymają się rury Ligoń i Kopoczek. Ligoń coś krzyczy. Nie można dosłyszeć. Teraz obejmuje stempel i opuszcza się. Jednym ramieniem obłąpił drzewo, drugie wyciąga na huczącą rzekę.

Przechylił Karlik głowę i patrzy, co Ligoń wyprawia. Już widzi. Woda niesie człowieka. Żyje. Bije ramionami o powierzchnię, wstać usiłuje, przewraca się zpowrotem, zanurza, znowu wychyla. To Hanslik! Ujrzał wyciągnięte ramię Ligonina. Uczeplił się. To dobrze!... Ligoń podwłókł go pod ścianę i trzyma. Teraz Kopoczek złazi po stemplu. W wodzie za-

nurza nogi. Pieni się fala koło nóg, na piersi skacze. Kopoczek obejmuje stempel prawem ramieniem, lewe wyciąga po słaniającego się Hanslika. Teraz już go woda nie udławi! To dobrze!... Coś krzyczą na Karlika.

— Co mówicie? — wydziera się chłopiec, lecz krzyk jego więdnije na ustach. Tłamsi je ryk wody.

Ligoń, Hanslik i Kopoczek, powiązani zwartymi palcami za dłonie, próbują zawrócić. Hanslik w pośrodku, Ligoń wolnym ramieniem trzyma się stempla, Kopoczek również wolnym ramieniem czepli się stempla. Idą. Ligoń puszcza stempel. Woda ciska nim, szamocze. Ligoń chwytą się następnego. To samo czyni teraz Kopoczek. W środku między nimi słania się Hanslik. Żmudna droga! Od stempla, do stempla. Posuwają się powoli. Zatrzymali się. Ligoń coś krzyczy. Przechylił głowę w górę i krzyczy. Karlik widzi jego zimne oczy, rozwierającą się czerwień głębi jego ust i łyskającą biel zębów. Po ruchach szczęki wnioskując, że każde słowa wyrzuca z gardła, jakoby kanciaste kamienie, z wysiłkiem dłonią miotane. Co on to może wołać?

— Nic nie słysza! — odpowiada Karlik.

Ligoń znowu krzyczy. Dochodzą go tylko strzępy podartych słów.

— ...naspadek... woda.... Wierba... piony..

Pojmuje. W myślach układa je w zrozumiałe zdanie:

— Pódz naspadek, bo tam straszno woda, a Wierba już jest utopiony!...

— Co, Wierba utopiony? Naspadek móm iść. Tóz pococh tu przyszoł? Na, dyćby to gańba była przewieczno, zech sie z połowicy drogi cofnął!... — myśli Karlik. — A jeśli jeszcze żyje? A jak sie kaj tak samo rury uwiesił i teraz czako poratowanio naszego? To, co?

— Nie pójda! — woła na Ligonina — nie pójda!... Jo ida Wierba ratować!... Czakejcie mnie przy tamie!...

Przypuszcza, że go Ligoń nie słyszy. Lecz może się domyśli. Wskazuje dłonią w kierunku przodka. Ligoń nie może się już utrzymać w rozbeltanej rzece. Widać, woda uderza weń, jak młotami. Ogięte koło stempli ramię ześlizguje się powoli, drapieżne pazury nie mogą się już wszcześcić w twarde, gładkie drzewo. Puszczają się i, zanim go woda zmiotła do następnego stempla, miał czas uczynić z ramienia zagięty hak, którym się zaczepił o krzepką podporę. Podobnie czyni Kopoczek. A wolnemi dłońmi trzymają za dłonie Hanslika. Palce ich zamieniły się w sękate sploty. Woda sięga im do pasa. Pieni się około ich ciał, tłucze zwarjowaną łbem w ich biodra, mocuje się i wyje. Gdzie może, to podżera ściany. Co raz zwala się z hurkotem oberwana ława węgla. Miejscami przechyla się stempel i, podważony od dołu, zanurza się w wirze. Za chwilę wyleci na powierzchnię i zacznie bić naosłep w przydrożne stemple.

Tamci trzej oddalają się szybko.

Teraz Ligoń zaparł się znowu plecami o wystającą wnękę calizny, odwrócił do Karlika i znowu coś krzyczy i ręką przywołuje. Karlik odpowiada, że nie pójdzie. Ligoń grozi, pieni się, widać — gdyby mógł, sprząłby nieposłusznego smarkacza. Karlika bawi jego bezsilna złość. Ligoń machnął ręką, splunął i znów się rzuca od stempla do stempla. Karlik patrzy ciekawie, by sobie przyswoić jego ruchy. Gdy będzie wracał, tak samo będzie robił.

Wody się nie boi. Alboż to nieraz rzucał się w najgłębsze plosa, tak głębokie, że ich dna trudno było najdłuższą żerdzią zgruntować! Koledzy go straszili, że tam utopić siedzi, że go Bajtkula nieraz widywała, jak wyłaził z rzeki, mały, o małej mordce, w czerwonej czapeczce na śpiczastej głowie i w słoneczku przez południe na trawie swoje pierzyny suszył. Zaklinali go, żeby nie skakał do głębiny, że go za nogi ułapi, w korzenie podbrzeżne głową zapląta i wielkimi łapami o

śliskich, błoniastych paluchach za grdykę chwyci i zdusi. Nie słuchał. Wyśmiał się z cudaków niemrawych i rzucał się naprzód głową w ciemną, rozbeltaną głęboczyne. Czasami docierał mulistego dna, czasami zaś tchu mu zabrakło, więc kilkoma pchnięciami ramion i nóg wyrzucał się na powierzchnię. A potem, gdy się już na brzegu dowoli wyparskał, przerażał kamratów zmyślonemi bajdami, jakto utopca za nogę na samutkiem dnie złapał i jak on, bestja, kwiczał przerażony i do raczej dziury się chował i pluł na niego, i wszystko.

Alboż nieraz to w czasie powodzi, kiedy rzeka opuchła żółtymi wodami, skakał do niej i pluskał się w szalejącej topieli, jak mały wieloryb? Ludzie na brzegu żegnali się nabożnie i krzyczeli na niego i pięściami wygrażali, że się utopi, a on tylko koziołka im machnął w wodzie, zaświecił nagiemi pośladkami, pokiwał nogami i zniknął na długo w szumiącej głębinie. Tamci truchleli, bo myśleli, że go już nie ujrzą żywego. A on tymczasem wypływał z odmetów, kilkoma rzutami ramion docierał brzegu, a potem zaśmiewał się z ludzi, że tacy bojaźliwi.

Wody się nie boi...

Teraz został osamotniony. Tamci już może znajdują się za tamą. To nic. Należy pomyśleć, jakby się dostać do przodka. Gdyby rura wisiała niżej, trzymałby się jej mocno i mógłby iść pod prąd.

Popatrzył na wodę. Nie niesie już drzewa, płynie wartko, tylko szumi, jak sto wichrów. Ściany ciągle podgryza.

Spróbował, czy można rurę wyrzucić z obsady. Szarpnął mocno raz i drugi. Trzyma mocno, bestja!... Już wie! Rurę trzeba nieco unieść, by ją strącić z haka. Oplótł nogi mocniej koło stempla, skurczył się i nagle uderzył ją ramieniem od dołu. Spadła z chrzęstem. Wygięła się szerokim łukiem, bo o kilkanaście metrów znowu wisi pod stropem.

Opuścił się do wody. Szarpnęła mu nogi, podbiła pięściami golenie, stanąć nie

dozwoli. Morduje się, próbuje zachwycić stopą najmniejszego oparcia. Już! Woda skacze mokremi kłami do oczu, czarnym szlamem zalewa.

Karlik zapieronował na otuchę, zaciśnął zęby, otarł się rękawem i patrzy. Dojdzie, czy nie dojdzie?

Próbuje się posuwać. Boryka się z wodą, szamoce, zdobywa krok po kroku, trzymając się kurczowo zawieszanej rury. W skroniach zaczynają tętnić młoty. W oczach rożegają się fioletowe koliska. Pot zalewa oczy. Odpoczął.

Znów idzie. Za każdym krokiem zgarnia wszystek wysiłek w mięśnie nóg. Powoli mija rozstawione stemple. Po stopach biją go ostre kamienie, toczące się po dnie, do krwi kłują. W mrocznej perspektywie ścian chodnika, pod różańcem rozchybotanych płomyków trzepocą się połamane, szkliste oszczypy zmełtego falami światła. Rzucają się w ryczącej czerni, jak żywe potworki, nazwajem się pożerają. Leci od nich nieoczekiwany lęk, w żrenice się wtłacza, do serca sięga i dziobać je zaczyna. Uczucie osamotnienia legło mu kamieniem na piersi. Tak jakoś niespodziewanie. Przeczucił tajemnym widzeniem, że tu gdzieś koło niego śmierć już się błąka.

Głupstwo! Otrząsa się z tamtych myśli, zgarnia je spłoszone w gromadę, poradzić się pragnie. Już wie. Przeliczył się w swem zuchwalstwie. Nie dojdzie ani do tamtego złamanego stempla. Woda jest mocna, mocniejsza nad ludzkie pomyślenie. Teraz ją dopiero pojmuje. Nie lza już dalej iść, zawrócić trzeba! Bo jeżeli mu zamkną wrota w tamie, to co?...

Zmartwił się szczerze swą klęską. Zawsze był w niej zwycięzcą, a teraz będzie musiał wracać, haniebnie pokonany. Ha, no! trudno!...

Spojrzał z zalem w kierunku przodka. Gdzie też może być Wierba? Czy jeszcze żyje, czy już też skonał? Szkoda byłoby chłopca. Jeżeli nie żyje, dej mu też tam Panie Boże szczęśliwość wieczną, amen!...

Lampy ciągle świecą. Jak gromnice, rożgnięte nad zagubionymi zwłokami Wierby. Lśni się ruchliwa smuga szalejącej wody, jak płynny gościniec, nabijany żółtawym srebrem. Znienacka żrenice wyłowiły z ich błyskotliwej smugi sunący czarny przedmiot. Wlepił Karlik oczy. Czy to odłamek grubego stempla, czy też...

— Jezusku święty!... to człowiek!...

Miotła nim woda, przerzuca, toczy, to na drobną chwilkę wchłonie, to znów wyniesie.. Czasem przewali się bezwładne ramię, jak złamane skrzydło ptasie.

Przyczaił się Karlik. Dopadnie go, kiedy koło niego popłynie. Założył nogę o stempel, obłapił go ramieniem, przechylił i czeka. Czarne zwłoki lecą... lecą... rosną w oczach, coraz bliżej... już!

Rozczapierzył palce, uchwycił surduta, przyciągnął do siebie. Woda wyszarpuje swój łup, z dłoni wydzierza. Karlik nie puszcza. Widzi — krew cieknie pasemkiem z rozbitej skroni Wierby.

— Żyje, czy nie żyje, ale go musza dokłudzić do tamy!... — zapieka się w zaciekłości uparty chłopiec. — Ale jak? Jezusku święty, jak?...

Już wie.

odciąga Wierbę do siebie, próbuje wepchnąć bezwładne ciało między ścianę i stempel. Byle mu go woda nie ukradła, gdy go z rąk puści!... Jest! Odpina swój pasek od spodni, przeciąga za pasek Wierby na brzuchu, zpowrotem na sobie zapina. Wierba teraz leży piersiami na jego plecach. Głowa mu się przeważa, krew z jego skroni kapie na Karlików kark. Karlik przechyla głowę i patrzy mu w twarz. Usta są otwarte, czy zamknięte. Rzęzi... A więc żyje!... Chwałaż-ci też, Panie Boże najroztomilejszy!...

Teraz do tamy!...

Uciekają stemple przydrożne, bo woda prawie że ich niesie. Usiłuje zatopić, lecz nie może, gdyż Karlik trzyma się rury. Teraz się już skończyła. Wybiegła pod strop. Karlik chwycił się oburącz

stempla, chwilkę czeka. Przypomina sobie, jak to czynił Ligoń. Już wie! Puszcza się znienacka. Zanim go topiel miała czas zagarnąć, już się chwycił następnego. Znowu się puszcza... Chwycił się trzeciego. Przeczekał chwilkę, puszcza się... chwytą... Po ogryzionych ścianach leci koło niego ogromny cień, poczwarny, skulony, chybotliwy. Jak olbrzymi pajak.

Skupia się w każdym rzucie ramion, wylicza chytrze, by na czas trafić ich obłękiem w podporę. Inaczej zginie. — Wierba ciąży mu, do wody ciągnie. Jego nogi płatają się między nogami Karlika. Przeszkadzają w golgotowym trudzie. Żeby tylko nie upaść!... Żeby się tylko nie potknąć!...

Pasek wgryza się w brzuch, biodra obciera boleśnie, w kościach łupie z wysiłku, zmęczone serce łomocze o żebra, dech zatyka... Z płataniny oślepiionych myśli wychynęła jedna, jasna i śmigła, jak błyskawica:

— A jeśli oni zawarli już tam?...

— Ale ni, bo woda ciągle płynie!...

Już ją nawet widać! Bieleje mur zdaleka, a woda, wpychająca się w wąską gardziel futryny, wyje w niebogłosy.

Kilka zaledwie stempli do tamy! Jeszcze pięć!... Jeszcze cztery!...

— Jezus! Maryjo!...

Podmyty stempel chwieje się, przechyla, wali w topiel. Odrzuca Karlika na środek prądu. Karlik usiłuje stanąć, obić się piętami w poorany spong. Nie może. Przetacza się nad nim rozwichrzona, płynna ściana. Chłopiec wyciąga ramiona, by dostać się pod stemple. Woda nie pozwala. Niesie go i niesie, rycząca z opętanej radości. Miętosi jego chłopięce siły, do gardła się wpycha, dławili!... Ciężar Wierby przygniata do ziemi. Karlik bije ramionami, żeby przynajmniej głowę ponad nią wychylić!... Nie lza!... Wlecze go po kamieniach... wlecze!...

Coś trzasnęło z łoskotem w ciemność! Nagły, piekący ból!... Karlik leci teraz w ogromną ciemność beze dna... purpurowe koliska wirują... teraz mrok zawiera się nad nim czarnym puchem... młoty przestają walić w skronie... purpurowe koliska gasną... słodkość nieznana spłynęła w serce...

Ludwik Brożek.

Jeszcze o A. W. Maciejowskim.

Zaciekawiony artykułem p. J. Zahradnika („Zaranie Śląskie“, VI, 2, str. 70—73), wglądałem w dawniejsze, dostępne mi roczniki pism, z chęcią doszukania się czegoś więcej o naszym wielkim uczonym ziomku. Wynikiem, uzupełniającym i prostującym pewne szczegóły, ogłoszone przez autora poprzedniego artykułu o Wacławie Aleksandrze¹⁾ Maciejowskim, dziele się niniejszem z czytelnikami „Zarania“. Uwagi moje, z natury

rzeczy oderwane, proszę więc czytać i traktować łącznie z tamtym artykułem.

Z dosyć obfitej, choć niewiele mówiącej literatury, jaką rozporządzałem, chcę podać szczególnie rzeczy, które dotyczą pochodzenia i młodości sławnego Ślązaka. Okazuje się, że szereg ówczesnych nekrologów albo przemilczał²⁾ miejsce jego

¹⁾ Wacław Aleksander, a nie — jak mylnie podawano — Wacław Aleksy.

²⁾ Milczą o miejscu urodzenia: A. P.: Wacław Aleksander Maciejowski, „Tygodnik ilustrowany“, 1883, I, str. 98—99. Z portretem. Warszawa. — „Biesiada literacka“, tom XV, Warszawa, 1883, str. 115. Krótka wzmianka. — Soplica Jacek: Ś. p. Wacław Aleksander Maciejowski. Ni-

urodzenia, albo też podawał je, wymieniając Kalwarię, miasto powiatowe, położone nad Szeszupą w byłym województwie augustowskim³⁾. „Kłosy“⁴⁾, wspomniane już w poprzednim artykule, podały jako miejsce jego urodzenia Śląsk Cieszyński, zaś „Świat Ilustrowany“⁵⁾ wspomina krótko, że „urodził się na Szlązku w roku 1793“, przytaczając jako źródło owych szczegółów biograficznych artykuł K. Wł. Wójcickiego w „Encyklopedji powszechnej Orgelbranda“. Dwa, przeglądnięte przeze mnie wydania tej „Encyklopedji“, zamieszczają obszernie notatki o Maciejowskich, między innymi o Wacławie Aleksandrze i synowcu jego Franciszku (1798—1873), profesorze historii i instytucji prawa rzymskiego w szkole głównej warszawskiej.⁶⁾ — W szczegółach, dotyczących miejsca urodzenia Wacława Aleksandra, różnią się jednak mocno obydwa wydania. Oto, co czytamy w wydaniu z roku 1864: „Maciejowski (Wacław Aleksander), najznakomitszy badacz dziejów, prawodawstwa, literatury ojczystej, urodził się w r. 1793; straciwszy wczesnie rodziców, wychowany był przez brata Józefa, profesora przy

szkołach pijarskich w Piotrkowie trybunalskim, gdzie szkolne nauki ukończył. W roku 1812 udał się do akademii krakowskiej. Od r. 1814 do 1818 uczył się na uniwersytetach niemieckich we Wrocławiu, Berlinie i Getyndze. Za powrotem do Warszawy, mianowany przy liceum profesorem literatury starożytnej, następnie w uniwersytecie warszawskim profesorem historii i instytucji prawa rzymskiego. W r. 1825 objął katedrę pandektów i takową zajmował do roku 1831. Od r. 1838 był profesorem literatury starożytnej w akademii duchownej rzymsko-katolickiej, a przy kursach prawnych, historii dawnego prawa rzymskiego i równocześnie sędzią trybunału...“⁷⁾ Skrócone wydanie tej „Encyklopedji“ z roku 1878 podaje natomiast miejsce jego urodzenia, mianowicie Kalwarię. W „Historjach literatury polskiej“ wspomnianego już Wójcickiego, Bartoszewicza i innych, którzy wspominają Maciejowskiego, o miejscu jego urodzenia niema żadnej wzmianki.

Do skreślenia tych niewielu uwag, zresztą nic pewnego i nowego nie przynoszących, nakłoniło mię coś innego. Oto autor wymienionego na początku artykułu pisze, że „u nas na Śląsku Cieszyńskim jakoś dotąd jest głucho o tym ziomku tak wielkiej sławy, nauki i pracy. Nasi historycy w wydawnictwach polskich (poza insp. Armandem Karellem, którego niemiecką notatkę przytoczono w tłumaczeniu polskim) nie zrobili o nim żadnej wzmianki“. Ponieważ mija się to trochę z prawdą, zwrócimy więc jeszcze uwagę na pewne szczegóły. Na Śląsku Cieszyńskim bowiem pamiętano i myśłano o Maciejowskim, a rozprawka o nim, ogłoszona w trzy miesiące po jego zgonie, pióra Ja-

wa, tom XXIII, str. 376—378, Warszawa, 1883. — Wacław Aleksander Maciejowski, „Gwiazdka Cieszyńska“, 1883, str. 68.

³⁾ Mówią o Kalwarji: W. D.: Wacław Maciejowski, „Wędrowiec“, 1883, str. 114—115. Warszawa. — s.: Wacław Aleksander Maciejowski. Z portretem. „Tygodnik powszechny“, 1883, str. 104—106. Warszawa. — Wspomnienie pamięci autora „Historji prawodawstw słowiańskich“. „Ateneum“, t. I. z r. 1883, str. 577—580. — Wacław Aleksander Maciejowski. Biblioteka warszawska, t. I. z r. 1883, str. 472—473.

⁴⁾ „Kłosy“, 1883, nr. 921, str. 123.

⁵⁾ Wacław Aleksander Maciejowski. Z portretem. „Świat Ilustrowany“, Wiedeń, 1883, str. 239.

⁶⁾ K. Wł. Wójcicki: Wacław Aleksander i Franciszek Maciejowscy. Encyklopedia powszechna S. Orgelbranda, t. XVII, Warszawa, 1864, str. 745—746. — W. A. i F. Maciejowscy, Encyklopedia powszechna S. Orgelbranda, tom VII, Warszawa, 1878, str. 294; W. A. Maciejowski, tamże, suplement, Warszawa, 1879, str. 113.

⁷⁾ Przytaczamy stamtąd dłuższy ustęp, ponieważ uzupełnia szczegóły biograficzne, podane przez p. J. Zahradnika w „Zaraniu Śląskiem“, VI, 2.

na Bystronia⁸⁾, w wyczerpujący sposób starała się o wprowadzenie jego „śląskości“. Na tem miejscu warto ją przypomnieć i przytoczyć ważniejsze myśli.

Powodem, skłaniającym Bystronia do zbadania śląskiego pochodzenia Maciejowskiego, była wzmianka „*Kłósów*“, jakoby „nasz znakomity uczony urodził się na Śląsku Austr. i był ochrzczony w kościele parafjalnym w Cierlicach pod Cieszynem“⁹⁾. Bystron, pochodząc z Datyni (wsi, graniczącej prawie z Cierlickiem), łatwo spostrzegł, że to o owem Cierlicku mowa, nie zaś o Cierlicach, których nie ma niktyle pod Cieszynem, ale w całym Księstwie Cieszyńskim. Udał się więc do ks. K. Ruska, ówczesnego wikarego w Cierlicku, z zapytaniem, czy w aktach tamtejszych nie byłoby dowodu urodzin Maciejowskiego. Otrzymał następujące daty, które dla porównania, z podaniem w „*Kłósach*“, zestawił:

	Kłósy	Metryka parafjalna kościoła w Cierlicku pod Cieszynem
Rok urodzenia	1792	1792
Dzień urodz.	—	10 września
Imiona	Wacław Aleksander Maciejowski	Wacław Michał
Nazwisko	Kazimierz	Maciejowski
Imię ojca	—	Józef b. oficjalista we dworze pp. Harasowskich
Imię matki	Katarzyna z Wojnowskich	Katarzyna z Wojnarów

„Obok różnic, niepodobna prawie przypuścić, aby to, co zgodne, miało być przypadkiem tylko. Więcej jest powodów, wskazujących tożsamość osoby, niżby się dało znaleźć ich w tem zestawieniu do przeciwnego twierdzenia.

Czy drugie używane imię Aleksander, zamiast podanego w metryce Michał, nie byłoby z bierzmowania? — Ojciec czy nie miałby dwu imion, z których Kazi-

mierz było pierwszym, Józef drugim, lub przeciwnie? — Trudno też przypadkowi przypisać odmienne, a przecież tak sobie bliskie znaczenie nazwiska matki, raz Wojnowską, to znów Wojnarówną mianowanej. — Bywało i to, że się dawniej ściślością w takich sprawach nie odznaczano w urzędach parafjalnych.

Powtarzamy: wiele dowodów za, mniej zaś (i tylko względnych), mogących nasuwać przeciwne twierdzenie.

Jako uczeń uniwersytetu krakowskiego nazywał się Maciejowski może nawet i Aleksander Wacław. W liście bowiem J. S. Bandtkiego, pisanym do Józefa hr. Kuropatnickiego we Lwowie, dnia 26-go stycznia 1816 r., czytamy następującą wzmiankę o naszym uczonym: „...Lepszej młodzieży nie masz na świecie, jak nasi studenci biedni krakowscy, których przecież teraz jest do 220 (Jeden z moich uczniów, który mi pomagał przy bibliotece, posłany ode mnie do Wrocławia, *Aleksander Wacław Maciejowski*, został tam lektorem języka polskiego), ... bo mi to ukontentowanie największe czyni młodzieży dopomagać.“

To jeszcze nie wszystko. Wdowa po Maciejowskim, zapytana przez Bystronia w sprawie miejsca urodzenia jej męża, doniosła mu, że urodził się on „w roku 1793 w *Bukowcu pod Kalwarią*, podając zresztą te same daty, które mają „*Kłósy*“. Otóż *Bukowca* pod Kalwarią wcale *nie* ma, ale jest *Buków*, wieś, należąca do parafji Mogilan, niedaleko Kalwarji. Wiadocznem jest więc przekręcenie nazw (z Cierlicka Cierlice, z Bukowa Bukowiec, z Wojnarówny Wojnowska), co się tłómaczy zbyt długim czasem, upłynionym od urodzenia Maciejowskiego do śmierci.“

„Wobec tego wszystkiego — konkluduje Bystron — należy wierzyć metryce, podług której nie zdaje się wątpliwem, iż ś. p. Wacław Maciejowski urodził się na Śląsku w Cierlicku, dnia 10 września 1792 r. z Józefa i Katarzyny Wojnarów-

⁸⁾ Jan Bystron: Wacław Aleksander Maciejowski — Ślązak. „Gwiazdka Cieszyńska, 12 maja 1883, nr. 19, str. 184—185. Pod rozprawką data: Dolne Datynie na Śląsku austr. w marcu 1883 r.

⁹⁾ Cytat ten, jak i poniższe, wzięto z rozprawki Bystronia.

ny.“ Kończy wreszcie swój artykuł wnioskiem, „czy nie godziłoby się związać i złączyć jego pamięci z miejscem urodzenia, położeniem tam pamiątkowej choćby najskromniejszej tablicy, dokumentującej to, co ś. p. Wacław życiem swoim zatwierdził, że: będąc Ślązakiem, należał do owej wielkiej całości, dla której chwalił pracować, odsłaniając dzieje praw w Polsce i w Słowiańszczyźnie zarazem.“ Tę samą myśl powtarza w liście do dra Andrzeja Cinciały (bez daty), pisanym z Krakowa, prawdopodobnie kilka miesięcy po zgonie Maciejowskiego: „Mam znowu list od p. Maciejowskiej, z którego prawdopodobnie znowu wypadnie skorzystać, odzywając się do ogółu polskiego z prośbą o datki na najskromniejszą choćby tablicę pamiątkową, któraby utrwaliła pamięć takiego, jak ś. p. Maciejowski mąż.“¹⁰⁾

Artykuł i list Bystronia świadczą więc — jak widzimy — o wdzięcznej pamięci Śląska względem Maciejowskiego. Lecz

¹⁰⁾ Korespondencja między J. Bystroniem a dr. Cinciałą zachowała się w rozproszonych po różnych bibliotekach, zbiorach tego ostatniego. Zbiorem tym, nazwanym przez Cinciałę „Silesiaca“, zajmie się jeszcze osobno „Zaranie“.

ani one, pochodzące z przed lat niespełna pięćdziesięciu, ani wiadomości, podane ostatnio przez J. Zahradnika, nie przemawiają jasno i oczywiście za śląskiem pochodzeniem Maciejowskiego. Krokiem naprzód w owych mozolnych poszukiwaniach będą wiadomości, dotyczące Maciejowskiego, zawarte w albumach imatrykulacyjnych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Sądźmy, że stamtąd dowiemy się pewniejszych szczegółów. O zbadanie ich pokusi się chyba któryś z naszych młodych naukowców, studujących w Krakowie.

„Niechby Śląsk, w tak trudnem znajdujący się położeniu, zyskał dla siebie pamięć człowieka tej miary i wzór tak świetny do naśladowania, niechby miał prawo powiedzieć, iż nie stracił swojego ziomka, chociaż go wysłał na szerszą widownię. Zasłynął Maciejowski w piśmiennictwie tego narodu, którego ziemię przepływa Wisła, w naszych śląskich górach poczęta.“¹¹⁾

¹¹⁾ Zakończenie artykułu Bystronia o Maciejowskim.

Skoczów, wrzesień 1930.

Pamiętnik gazdy Jury Gajdzicy z Cisownicy.

(Z początku XIX wieku.)

Żył przed laty w „Pasiekach“, Małej Cisownicy, obok Ustronia, posiadacz średniego gospodarstwa zagrodniczego, Jerzy Gajdzica, który był tak wielkim lubownikiem książek, że ile razy mu wypadło udać się w dalszą „furmankę“ — a jeździli wtedy ślascy gazdowie w dalekie strony, rozwożąc i zwożąc towary — to on zawsze przywoził nowe książki, jakie tylko mógł gdzie kupić, a naskupował ich takie mnóstwo, że każde z jego licznych dzieci, obok Biblii, „Dambrowki“ otrzy-

mało jeszcze po kilka innych książek, a jeszcze ich sporo pozostało przy gruncie. W ilużto domach w Ustroniu i okolicy, liczni prawnukowie i praprawnukowie Gajdzicy, posiadają książki, mocno w skórę i deski oprawne, opatrzone exlibrisem *) i napisem: Jura Gajdzica z Małej Cisownicy! Bo książki nabyte opatrzył na karcie tytułowej, a niekiedy i na zewnętrznej stronie „deski“ podpisem pieczętkowym:

*) pieczętka biblioteczna.

Jura Gaydzica, tak ludząco podobnemi czcionkami, jak ten gotyk w książce, że wydawało się, iż to nazwisko w książkę wdrukował drukarz przy nakładzie.

W wydawanym przez dra St. Kota kwart. „Reformacja w Polsce“ z r. 1922 na str. 126—127 prof. dr. Bystron omawia jedną z starych książek, która była własnością tegoż Jury Gajdzicy, a ponieważ w książce nie wymieniono nakładcy, a w miejscu zwykłym znajdował się podpis pieczętkowy: „Jura Gaydzica“, uczony profesor uległ mistyfikacji i wymienił Jurę Gaydzicę jako nakładcę tejże książki. Exlibris zaś właściciela, tegoż samego Jury, uważał za własność późniejszego potomka rzekomego wydawcy i zaznacza, zresztą słusznie, że „Jura Gaydzica miał pierwszy polski exlibris włościański“. Jura Gajdzica często kupował książki nieoprawne, które sobie sam oprował, będąc człowiekiem nader zręcznym: „Co oko widziało, to ręce zrobiły“. A oprawa jego książek bardzo misterna. Od jednego z wnuków Jury Gajdzicy otrzymałem w czasie wojny światowej pamiętnik: „*Dło pamięci rodu ludzkiego*“, przez niego napisany.

Autor jego, Jerzy Gajdzica, urodził się jako syn Jerzego Gajdzicy, zagrodnika i Maryny, córki Pawła Malca, 19-go grudnia 1777 w Małej Cisownicy. Zmarł 16 lutego 1840 na zapalenie płuc. Pamiętnik Jury Gaydzicy nie może być wartościowany walorami literackimi, ani porównany z pamiętnikami późniejszych autorów chłopskich (Słomka, Bojko), bo Jura nasz pisał nie do druku, ale poprostu zapisywał, co go interesowało. Pamiętnikarz nasz, to przecie chłop-gazda, zajęty pracą na małym gospodarstwie, zarabiający furmanką, mający liczną rodzinę, chłop, który żył w czasach, co to było trzeba „daremszczyznę“ na pańskim obrabiać, a który zaledwie przy niedzieli i w święta, a niekiedy może zimową porą przy świetle „szczypy“, gdy

kołowrotki furczały, ucierając płomień i utrzymując światło prądkom, — rozczytywał się w księgach nabożnych i może kreślił swoje zapiski... Sądząc z wyrobionego charakteru pisma, sądzićby można, iż uczęszczał do szkoły, którą założono w Ustroniu w r. 1785 a w samej Cisownicy w r. 1790. Choć bywali w tych czasach ludzie, biegle czytający i piszący, a którzy nauczyli się tego w domu. Odpis pamiętnika sporządzono bez jakichkolwiek poprawek, zachowując jego pisownię. Opuszczono tylko część mniej ciekawych a znanych szczegółów historycznych, w części: „Z kroniki Cieszeński“, odnoszących się do przeszłości ewang. i historii miasta Cieszyna. Co naszego Jurka interesowało: Urodzajny i nieurodzajny rok, burze, powodzie, które niszczyły plony, powodowały brak żywności.

Wojny, kiedy przechodziły wojska, kiedy było trzeba dostarczać koni i wozów do „forszponów“ — te straszne wojny, których następstwa tak dotykały chłopów i każdego mieszkańca: chorowanie ludzi i ustroju państwowego, — dewaluację pieniądza, zmianę pieniędzy, na której obywatel prawie wszystko płynne mienie tracił, a często ziemię, co doprowadzało do ogólnego bankructwa. „Potem po wojnie była jeszcze większa bieda: Dowki ośm razy większe, jak były stare, jeszcze większa bieda o pieniądze; na pospolity lud było bardzo źle: *Miał co chłop sprzedać, wziął za to bardzo mało, a gdy było trzeba co kupić, musiał dać moc.*“ Czyż dziś chłop nasz tego samego nie odczuwa, tak samo się nie skarży? W tych czasach po wojnach napoleońskich znikła doszczętnie drobna szlachta śląska, tak liczna jeszcze w 18 wieku, a ich dobra za bezcen przeszły w ręce Komory arcyks. i hr. Larischa. W takich warunkach gospodarczych, przy mało ogólnym szafowaniu pieniądzem — trudno było ostać się nawet na folwarku, czerpiącym dochody z sprzedaży plonów rolniczych. I szlach-

ta nasza poszła. — Pamiętnik Gajdzicy krótkimi słowy wyjaśnia przyczyny bankructwa.

Nic dziwnego, że nasz Jurek tyle uważał poświęcił wojnie napoleońskiej, kiedy te wojny tyle nieszczęść na Śląsk i jego mieszkańców sprowadzały! Z jego uwag wynika, iż Napoleona, jako burzyciela pokoju, nie lubił. „Francuzowi się zdało, że będzie po całym świecie panował, ale mu Pan Bóg w Mozgolski ziemi szyki zepsuł.“ W pamiętniku swoim obok różnych dat, odnoszących się do historii Cieszyna, Frysztatu i spraw czysto ewang., zapisał sobie Gajdzica datę pierwszego podziału Polski. Jest to jedyna data, nie odnosząca się ściśle do Śląska. Nie zapisał ani jednej daty, odnoszącej się tylko do Austrii, nie można zatem stąd wnioskować, jakoby fakt podziału interesował go tylko w związku z powiększeniem Austrii. *Pamiętnik* pieśniarza pasieckiego i jako zabytek językowy zasługuje na opublikowanie.

Jan Wantuła.

Dłó pamięci Narodu ludzkiego.

Roku od narodzenia 1805 była Wojna bardzo wielka z Francuzem, a już był u Wiszkowa, potym szło Mozkałski wojsko cysarskimu na pomoc, a było go bardzo moc, iak prochu, ale tam niedługo było, bo się chned zbili i zostało tam rusow moc i pręc Mozyalski, potem się to wrocilo prętko, poczęli tam iść piersi o Michale, aszli do Andrzeja anazod poczęli iść przed Gody. Ten rok był bardzo mokry, a późny, mychmy tu nic nie mogli zasioć przed mokrem a Forszponami. Potym się choroba bardzo rozmogła w zimie, także ludu bardzo moc wymrzilo, wszędy po całym okręgu Swiata. I ksiąnc Kłapsia przy Cieszynie. Szpital tam był na kierchowie. Potym zaś to była ucichła ta wojna. Roku 1809 była się zaś wojna tak rozmogła, zaś tu niedaleko, a braczka*) tu była tak wielko,

że się zdało, że tu żaden chłop niedostanie.

Roku 1811 było wielki sucho, po całej Europie, potem się rozmogło bardzo wielki drogo. Roku 1812 było tak drogo, że sztwiertnia owsa po 50 fr (Floreńców) płacono, a wiosna była bardzo nieskoro a mokro, a bardzo późno. Za sztwiertnie rży płacono 80 fr., a pszenica za 120 fr. za bankocetle.

Potem bankocetle schynęli, co płaćla bankocetla 5 Ryńskich, to potem płaćla na ty Einlösungszeiny Ryński. Potem z nowego (żniwa) było złącniło, owies za tolar, Reż za dwa ryński, pszenica na trzy ryński na ty Einlösungszeiny. Roku 1811 świeciła Kometka, a miała taką mietle od siebie, a było ją widać na północy, szła od zachodu na wychód ponad ziemie. Roku 1813 poczał deszcz padać na Bartłomiey, ten deszcz trwoł tydzień. Potem zebrała bardzo wielko powoć wszędy tu potym okręgu, iże pamiętnika nie było. Na Obłayścu, co się nazywała zobawa, to yom woda wzięła, a ledwie ludzie uciekli a haw potem wszystko wzięło, co ani znać nie było kany było stawieni, a pilorzom wszystką żywiol przimazało, a pola im wzięło moc. W Cieszynie Olza też tak wielko była, że most chciało wziąć. Dziecio w kolepcie niosło, ale go chycili z kolepkom żywego. A wszędy kole wod pole pobrało. W Biełsku 7 domow, w Skoczowie 2 stodoly a owiec moc. Polenica się zerwała, poniży panica, na Wiśle Ku Postrzednimu tak, że się zdało, iże Panica wytopi. Przy farze iuz drugigo sztempla sięgała woda. Żywca też wzięło, u Oświęcima 7 dziedziń. Po tey powodzi się potem rozmogła tako bieda a drogota, zarobkow nie było, znikąd co wziąć, z trefunkem był gazda, coby mu nie chybiło chowanie. Owies 3 ryński, Reż 9 fr., pszenica 13 fr. na Einlesungszeiny 1814.

*) braczka = branka, pobór do wojska.

Roku 1812 przed gody Francuz prziszedł na Mozgola do bitki ale sie Francuzowi źle podarzyło, Pon Bog mu tam bardzo wybił, trefiła zima wielko i mroz i zmorz tam, że sie go mało wrocilo i musioł sie wrocic chned w poście z Galicye. Potem sie zaś woyna szczęła, Cysorz z Francuzem. I nasze cysarskie woysko też sie wrocilo z Polski i tu były tak wielki marsze, że yuż nie szło ku wytrwaniu a trwały od Apryla aż do Czerwienca, że niekiedy było 8 koni u yednego Pasieczana (gazdy z Małej Cisownicy), tego roku 1813 też wtedy wtych marszach szli francuzi Harwoci i wszelijaki zbierwy a ściągali sie ku Pradze i tam sie potem zaczęła woyna. Ale Chwałę Panu Bogu, dał potem Zwycięstwo naszym Monarchom, bo tam byli wszyscy noń co są w Europie i zagnali go aż do Paryża i tam go wygnali Bonapartę, co był z yednego oficyna urobiony za krola tam go zchynęli a inszego sobie urobili, to brata nieboszczyka krola Ludwika 16, co go byli zielił Francuzi, potem sie stała Rebelia a z niey Woyna tak nieszczęśliwa a długo trwając, że sie końca nie było lza doczkać. Roku 1814 stoł sie pokoy dnia 30 maya, prawie w tem samem mieście, kandy sie poczęła woyna a to w Paryżu, w mieście francuzkim głównym. Ta woyna żalosno trwała wyszye 20 lot, co sie zdało, że im końca nie bedzie.

Francuzowi sie wdychi darzyło, wygroł na istych miejscach, więcey yak 36 razow. Prusowi przeszedł cały kroy i musioł mu być poddany. Francuzowi sie zdało, że yuż bydzie po całym świecie panować, to se tak myśloł, ale mu Pon Bog w Mozgolskiey ziemi szyki zepsuł i zmazło go tam bardzo moc. Roku 1913 chcioł sie yeszcze zmoc, ale mu Pon Bog szczęści odebroł. Ale potem zaś sie też Pon Bog zmiłował i użyczył nam pokoyu istego, bo przedtem był też opowiadany, ale długo nie trwał, to tam yeny bylo wytnieni, choć też ze sławą. Ale po-

tem, kiedy już był pokoy, tochmy go sławili wszędzi po kościolach wszystkich, i kolekty zbierali na tych porąbanych na woynie i na tych w szpitalach leżących.

Miasto Cieszyn było wielce przyozdobione. W Cieszynie przed zomkiem były trzy bardzo wielki słupy stojące każdego Monarchy, to yest austriackiego Franca słup pierwszy. Słup drugi Cysarza Ruskiego to jest Mozgolskiego. Słup trzeci krola Pruskiego. A na wyrchach onych dwuch Cysarskich a yednym krolewskim słupie, znaydowały się orły każdego Potentala a lampy po nich, kole tego bardzo wiele rusztonkow naczyniono, na których to słupach na tysiące zapalonych lamp sie znaydowało, we wszystkich tych sławnych ceremoniach znaydował sie on dzien siodmy w Tydniu, to jest niedziela przypominając yedną wiec, która by była pamięci godną, iż w on dzień przy wszystkich onych sprawach po całym mieście w onych wszystkich domach w oknach ty neyśliczniesze obrazy wieszane, orły a końszta neyrozliczniesze na Chwałę Boga i całemu Okręgowi oney Ziemi wystawiane, że w niektorym oknie sie moc gorejących świeczek znaydowało a tak po onych wszystkich gorejących świece, od których Blask a Jasność wszędy po całym mieście sie rozszerzyła, w nikierem oknie i 10 świec było, tak że wszelką robote, gdzie kolwiek prziszedł wykonać mogł; rzeczono, żeby i pieniądze liczyć był mogł, tak było widno, choć to było w nocy i choć był now. Tak samo i około Czyszczanie same lampy i po rynku całym yeno samo światło było. Dnia 15 czerwca wrocil sie cysorz do Oyczyzny swoyey. W ten dzień chwalebneho Pokoya także i po gorach naszych światło i strzelbe czynili, był też i w ten dzień Tekst i Psalm 50 w. 14. i 15. obrany. Ten pokoy był sławiony dnia 3. Juli Roku 1814.

Roku 1815 było bardzo nieurodzajno.

Pokoy był w krainie. Rok naśladowący to jest 1816 ten był jeszcze nieurodzajniejszy, a bardzo mokry a to w całej Europie, tak że sie bieda rozmnożyła, a ubogim ludziom wiele nędzy uczyniła, że ku wytrwaniu nie było, a jeszcze potym podczas yesieni było wszystko, co na polach zostało wczas śniegiem przypadane. W tym roku 1816 zabiło Stanieczka za turkowskim(?) drzewo, które mu nieszczęśliwym sposobem do głowy trefiło. 20. Dec. 1816.

W roku 1817 przez całą zimę nie było niyakiey sanice, dycki było mokro, w gorach padał śnieg a na dole deszcz. Na Jurzigo spod śnieg (24 IV), że się potym na saniach dobrze jeździć mogło. Na Filipa a na Jakuba się pierwszy raz na pole wyjechało. W gorach było napadane śniega na 12 mior. W r. 1817 była bardzo wielko drogota, a bieda, że wiele ludzi od głodu pomarło, w tych neylepszych Krayach największe drogo a bieda była. Nasza sztwiertnia rzy za 60 Ryńskich na strzybne pieniądze. A tu u nas była pszenica 32 fr. na Einlösungszeiny, Reż 25 fr. Owies 12 fr. na Einlösungszeiny. Lato było bardzo dobre, przyjemne, choć zima dociągła aż do Maya, rok był dość wczesny, w zadnich gorach przed Urbanem nikierzy nie poczęli siać, ale potym przeca na Michoł mieli zebrane. Potę z nowego było złącniło wszystko o połowicę. Ięny, ludzie się byli bardzo za dłużyli, że sobie rady nie wiedzieli na jesień. Kiery nie mógł zapłacić, to mu potę szacowali na ty pieniądze i przedawali, a dowki były bardzo wielki, ten co miał 4 czeski dowki, to potem miał dwa ryńskie i więcej.

W r. 1817, tochmy tu odprawiali Pamiętkę Reformacye Doktora M. L. 300 letnią, to trefiło drugiego przed Nowembrem, tochmy opchodzili yak najpiekniey mogli w kierem kościele. W Cieszyńskim kościele były 4 słupy przy ołtarzu, po tych słupach same lampy, na

ołtarzu osiem swiec, między nimi orzeł ten naypierwszy, nad yednom spowiednicom Jozef Cysorz, nad drugą Franc cysorz, w obrazach wywieszoni, przy organach turecko muzyka. W r. 1817 w miesiącu czyrwniu dnia 29. Cysorz imieniem Franc I. obyechoł swoyi kraye, tu w Cieszynie by dwadni, w niedziele przyyechoł, po świętym Ianie, był tu do wtorku, w niedziele zaroz przechodził. Był neypierwey w szpitalu, potym w naszym kościele, na wyszni bronie, na szkołach też, na kierchowie, w Solarni i wszędy pochodził. W tym roku 1817 była trefiła Czyrwionka, bardzo ostro, że w nikierych dziedzinach wymrzyło połowica ludzi pod gorami. W r. 1818 trefiło miesopust tak krótki 5 tydni i 5 dni, trefiło Gromnic ostatni Mięsopustni pendziałek, Zwiastowani Panny Marye, to 25 Marca w strzode po Wielkiej Nocy. W r. 1812 Pasieczanom odmierzili Rownie, yednemu każdemu na 4 Jochy, przedtem mógł paść pięć kęsów krow, 5 nadawkow, wzielichmy na 3 siągi ziemie na ceste do Jeleniowey Ulice, żeby tam mógł śmiało yechać, pod Szarą, co jest teraz Pański pole, to se wzięli, co kiesi ienom z dolnego Goleszowa w Rowni pos, co mayą Chmielowie to yim zahandlowali, bo yeyich pole ciągnęło niedaleko Szarego, tako paśmina. Rowień była od Radomia po Żłobiński potok, od Pasięk po folwarczek. W r. 1817 na yesień był owies po 7 fr., na wiosnę 1818 w Aprylu było dość owsa po 3 fr., tak wszystko było złącniło. Pieniędzy było mało, Szeiny się straciły. W r. 1818 było bardzo łacno, pszenica po 7 fr., Resz 4 fr., owies 1.30 fr. szejnow. Strzebny ryński był za 2 fr. 30 szejnow. Dowki były w 8, yaki były stare. W r. 1819 była jeszcze większo bieda, o pieniądze, na pospolity lud było bardzo źle. *Miał co sprzedać, wziął bardzo mało, a gdy było co trzeba kupić, musiał dać moc*, bo nie złącniło yine, yenoco Jodło. W tym roku my dowali

za yedną starą 6 na szejnach. W tym roku 1819 Wiślanie dostali dozwoleń na nowy ewanielicki kierchow. Poświęcili go w ostatnia niedzielę po Świętej Troyicy. To było dnia 21. Nowembra. Dychmy tam prziszli, wyśpiewali pieśniczke: „Ach yak biedny, ach yak marny“, potem miot przemowe na tekst z I Ks. Moyż. r. 23, w. 3—7, po kazaniu zaśpiewali Musime wszickni zemrzeci, przy ktorem poświęceniu yo, Jurek Gaydzica, tam był przytomny, przy tem poświęceniu Jurek Gaydzica z małej Cisownicy 1819.

W r. 1820 było tak drogo, jako przedtem. W r. 1821 był bardzo zimny a mokry a późni rok. Na obilni kwiat było bardzo źle. Potę było bardzo niepleni, że ludzie nie mieli czem zasiał. Z nikiere kopy było 4 miarki obila, była zdrożała pszenica, za 12 fr., we żniwa była dobra pogoda, pięknie sie skludziło, potem zaś było źle aż do Michała. Potym była pogoda dobra, aż do Andrzeja, mrozu nie było ani śniegu do god. Na ten dzień dopołudnia było bardzo dobrze, ale po południu prziszła tako pocwa o 3-ciej godz. gromy uderzały, grzmiało, a powicher był, że chałupy wołało, lasy łomało. Do Cieszyńskiego farnigo kościoła grom uderzył, dach zerwało, okna potrzepało to straszne powietrzi, a mrozu nie było ani żadnej zimy aż do god. A wiatry były bardzo wielki, a największy w Boże Narodzenie, ludzie odeszli domy, ale gdy prziszli z kościoła, to były powołane. W Gorkach chlewy powołało, a krowy pobiło. Gdychmy szli na yutrznie, to za Żywcem wygorzała dziedzina, w niektorą noc, był więcej niż yeden (pożar — przypisek przepisywacza). W r. 1822 rok był bardzo suchy, ale sie mało nakludziło i zdrożało. Do god było ciepło, przez zime sucho. R. 1823 był bardzo urodny. A taki zdzierstwo było, a dowki. *Sekucya z dziedzin nie wychodziła a o dziesięćcine też tak sekwierorowali.*

Mychmy yą dokonali Pasieczanie w r. 1824 w January.

Nieco z kroniki Cieszęski.

Miasto Cieszyn, neystarsze miasto w Gornim Śląsku, mo kaplice pogańską 810, która yeszcze po dziś dzień yest widziano i ze zomkę. 1570 był mor w Cieszyńie, 300 (ludzi) umrzyło.

1617 13. Juli książę Adam Wencel umrzył.

1622 Wiertel rzy za 5 czechich.

1652 Stracony został w Cieszyńie na środku rynku nieyaki Polak, nazwiskem Bynass.

1683 Miasto Wiedeń od Turków oblężone, krol Polski z ludem swoim go odbił.

1709 dnia 24 maja C. Jozef Kościół doł wymierzyć, na wysznim przedmieściu Cieszyńskim z przymłowy krola szwedzkiego.

1771. Kroy Polski na trzi dzioly rozdzielili, to yest Prusowi, Mozgolowi a Cysarzowi.

1776 Cestą Cesarską u Cieszyna (od Frydku do Bielska) zaczęto budować.

1781. Szczęście trafiło pod Rzymskim Cysarzem przez dekret Józefa drugiego, wolność Ewanielikom i starowiercom po wszystkich Państwach swoich Bethauzy i szkoły budować ewanielikom dozwolili.

1786 prawie na ostatki Miesopustne z niedzieli na Pendziałek między 2 a 3 godziną po północy było trzynisieni ziemie.

1789 6 maja wygorzało całe miasto Cieszyn, kościół i fara katolicka, tylko wyższe przedmieście zostało.

1790 Na Św. Bartłomiej zaczęła sie ta okrutna woyna z Francuzem.

1799 Mozgole przez Cieszyn na Francuza maszerowali.

1800 W Cieszyńie na Rotuzie Wieżę fundowano.

1804 Była woda wielko na rzyce Cierlickiej, a u Cieszyna, gdyż nad borami

od Ligotki aż po Jabłonków niewymowny woł deszcza przeszedł tak, że się w Cierlicku 13-cioro ludzi utopiło.

1805 Pokoy urobili z Francuzem, a Mozgole po drugi od Francuza maszyrowali ku Godom po winszu, ale Mozgole upadli, mor na ludzi około Cieszyna, że ludzi moc umrzyło.

1808 Wyszedł mandat od Cysarza Franca drugiego, żeby w Slonzku a na Morawie tak rzeczoni Langwerzi albo obrońcy Landu zrobieni byli podle losów, na ktorego los padnie, a tak losy tachnąć musieli yeden. Każdy na ktorego los trefił ten być musiał, a uczył się mustrungu każdą niedzielę po południu.

1809 powstała zaś woyna z Francuzem, a woysko maszyrowało nań, a langwerzy dostali szaty a zosadzowali ich do miast.

1809 na Boży wstąpieni o 7 godz. pojechała się kometa, na niebie krzyż, a potem z tego krzyża zrobił się miecz, a trwało to 5 sztwierci godziny.

1809. Sylno sprawowali za Jabłonkowem szanice tak tam z tel ludzie paternie widzieli nad wychodem tom kometa, krzyż a potem z niego miecz.

1809 i Polska wojowała aż większa część cysarzowi odpadła. W tym czasie po z langwerow narobiono, a woyowali w Polski, a po zawrzytym pokoyu z Francuzem a Prusem a Polakiem do domu ich rozpuścili, ty landwery. Tym sposobem robili, wszecy gazdowie zebrani byli, a kartki tochli, to yest losy, a który wytochnął pisanom, ten musiał być langwerem.

1811. Wyszedł dekret od Cysarza Franca żeby wszeczko ono strzybło ktore było na francuska woyna też przez rozkaz yego, sztymplowane być musiało, a od każdego łota (łuta) 4 czeski płacono. yak przy lidach, tak po kościołach, że potem każdy mog mieć strzybło, a żeby wszeczko zebrane było, za ktore strzybło płacił Cysorz, tyn Franc *samemi bankocedołkami*, to yest papierowymi piniądzami. I porobili wielką szkoda, że i kielichy po ołtorzach a monstrancye zebrane były, co ale za *wielkom wypłatom a prośbom* po yednym kupione były a zaniechane każdemu kościołowi yeden.

1811. Wyszedł dekret od cysarza Franca, żeby pynize, wtedy panujące Bankocedołki skasyrowane były, a żeby nic więcej nimi nie płacono yenom Reńskowe. Bankocedołki 4 czeski płaćła, a tak daley, to ale wielka psota między ludzmi się stała, ponieważ za dobre piniądze od niego dane były to yest za strzybne.

1811 a 1812 Koniec wzięły Bankocedołki, a zaś dane były tak nazwane Szajny, zaś *papiery*. Ty płaćły na dobre piniądze Ryński za Ryński — a strzebnym piniędzy zaś nie było.

1812 był wielki głód, a drogota, na Śląsku sztwiertnie pszenice 120 fl. płacono, przed nowym, a Reż 80 ryńskich, a owies 50 fl., a *ziemniaki za 30 fl.* Bankocetle, a to gwoli sucha, w r. 1811, tymu że wszeczki yarzyny nie dozdrzały, ale uschły.

Jurek Gaydzica z m. Cisownicy.



SYGNAŁ CZASU.

Z niebieskiego głośnika, jak z muszli,
dźwięczył się i grał szum. Za chwilę sygnał czasu. —
Tęcza zawisnie na antenie,
oziemienie się słońcem sprószy
i sygnał słyszać będzie bez trzasków — odrazu.
Położył Pan Bóg święte ręce na aparacie,
nastawił na ziemską stację.
Uderzyły o niebo przedziwne szklane kryształy,
jakiś sypanie perelczane, zaczarowane łzy,
uderzenia młota o srebrne kruszce.
Zapachły krwią błękitne bzy,
zatokowały miłości, jak głuszcze.
Pomylił się speaker czy oszalał ze szczęścia?
Ktoś wali w boże okna jak pięścią,
opływają krwią wszystkie boże sny. —
Miał zegar bić na westminsterskiej katedrze
godzinę ósmą.
Osiem razy głośnik dyszał obłąkanym warjantem,
jak śmiertelnie ranione zwierzę.
I było tak, jakby kto gwiazdy rysował brylantem,
to znowu piłą rznął drzewo i kamienie ciskał,
i było tak, jakby ludzki tajny grzech na falach się ziszczał,
na długich, długich falach.
A kiedy powiedział niepoznany speaker niepoznanej stacji:
„Nadaliśmy sygnał czasu, bicie serc ludzkich miast bicia zegara“,
Pojął Bóg wszystkie niewymówione słowa,
co były jak śpiew fletni i warkot wściekłego ogara
i pojął wszystkie ludzkie serca i dzieje każdej miłości,
i wszystkie dusze pachnące, jak kwiaty białej akacji,
i wszystkie z bólu szalone i od męki głupie. —
Stosunek swój do ludzi serdecznie uprościł
i podczas letnich radjowych wakacji
złote dziewanny zasadził przy antenowym słupie
na znak przymierza.



RECENZJE.

Z piśmiennictwa.

Śląski zeszyt Tęczy. Coraz głośniej o Śląsku w Polsce. Przez długie lata ziemia nasza była dla społeczeństwa polskiego coś w rodzaju Terra incognita. O Śląsku wiadano, że to kopalnie węgla i huty, oraz, że odbywały się na jego ziemiach powstania. To było prawie wszystko, co przeciętny mieszkaniec Polski słyszał o nas. Dzisiaj z radością trzeba podkreślić, że stan owej wiedzy przechodzi już do przeszłości. Pojawiają się artykuły w prasie naukowej, piszą o nas ludzie o sławie literackiej, odkrywają nas, mówią głośno i z podziwem o naszej kulturze rodzimej, o naszych walorach duchowych, Śląsk staje się głośnie w Polsce.

Owo skierowanie uwagi społeczeństwa w reszcie Polski na Śląsk kojarzy się równocześnie z niebezpieczeństwem, jakie zdaje się grozić kresom zachodnim ze strony niemieckiej. Z tą też myślą podjęła Redakcja *Tęczy* poznańskiej wydania specjalnego zeszytu, poświęconego Śląskowi, który się ukazał z druku, jako zeszyt 30 z dnia 26 lipca 1930 r.

W przedmowie swej Redakcja zaznacza, że w zeszycie tym zwraca oczy na zachód, a głównie na Śląsk. W okresie, w którym Niemcy wytaczają nam walkę polityczną o nasze granice, takie objęcie spojrzeniem naszych ziem zachodnich jest bardzo wskazane. Nie jesteśmy zgoła pesymistami — pisze Redakcja. — Jesteśmy przekonani, że Niemcy swoją akcję przegrają. Stracić coś na zachodzie moglibyśmy tylko z własnej winy. Ale właśnie dlatego należy ześrodkować na nich naszą troskę, właśnie dlatego — w obliczu wroga nam akcji — wysunąć je na pierwszy plan i od tego, co tym właśnie ziemiom wyjdzie na pożytek, uzależniać nasze postępowanie.

Treść śląskiego zeszytu *Tęczy*, zredagowanego świetnie, rozpoczyna artykuł Zeta p. t. „Znaczenie studjów nad zachodnimi kresami dawnej Polski“. Autor, nawiązując do wzmożonej obecnie ekspansji niemieckiej na nasze kresy zachodnie, wykazuje zaniedbania nauki i literatury polskiej w odniesieniu do ziem zachodnich, polskich, podkreśla wagę podjęcia się pracy w tym kierunku oraz podnosi znaczenie jej wyników dla kształtowania psychiki społeczeństwa, wymaganej dla unicestwienia zakusów niemieckich.

W rzeczowym związku z wyżej wspomnianym artykułem pisze prof. Zygmunt Wojciechowski obszerniejsze studjum historyczne p. t. „Plany królewskie książąt śląskich w XIII wieku“. Dowiadujemy się w niem o wysiłkach Piastowiczów śląskich w kierunku zdobycia prymatu w rozdrobnionej Polsce, o szerego a mądrze zakreślonych planach Bolesława Wysokiego, Henryka Brodatego i Pobożnego, mających na celu zreformowanie polskiego prawa politycznego w zakresie dziedzictwa tronu, dążenie ich następców do pozyskania korony królewskiej polskiej i połączenia dzielnic Polski z wyodrębnionym Śląskiem w jedną całość.

Dr. E. Łepkowski opisuje obszernie nasze Muzeum Śląskie w Katowicach, nazywając je słusznie „nową placówką kultury polskiej“. Kilka zdjęć, ilustrujących bogactwo Muzeum, zdobi ów artykuł.

Prof. Dr. Jan Sajdak poświęca gorące wspomnienie ś. p. X. Biskupowi Arkadiuszowi Lisieckiemu w artykule p. t. „Uczony na śląskiej stolicy biskupiej“.

Z zakresu literatury o motywach śląskich mamy tutaj fragment z nowej powieści historycznej z czasów Henryka Pobożnego P. Zofji Kossak-Szczuckiej p. t.

„Opowieść rybałta“, „Bajkę o jednym dobrym bracie i drugim złym bracie“, napisaną w narzeczu śląskiem przez G. M., oraz szkic powieściowy p. Marji Czeskiej-Maczyńskiej p. t. Ślązaczka.

Wyliczyliśmy najważniejsze prace. Są jeszcze inne, a liczne ilustracje ze „Ślązaczka“ z okolic Rybnika na czele uzupełniają szczerze to sympatyczne wydawnictwo.

G. M.

Alojzy Bączek: Pamiętnik. Autor, znany działacz w zagłębiu karwińskim na polu społecznym i ekonomicznym, zasłużony weteran w walce o słuszne prawa górnika śląskiego, wydał swój „Pamiętnik“, zawierający „przygody z życia, młodości (Biograf), rozwój i współpracę w zakresie publiczno-społecznym na Śląsku Cieszyńskim w czasie 1865—1920 roku“ — jak zaznacza w podtytule swojej książki. Pamiętnik o zabarwieniu wybitnie partyjnym, przedstawia w zajmujący sposób na tle własnych przeżyć budzenie się świadomości klasowej robotnika polskiego w zagłębiu karwińskim, jego wysiłki, zmierzające do poprawy swego bytu, powstawanie i rozwój socjalistycznej „Unji górniczej“, a następnie „Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej“. Praca to nadzwyczaj ciekawa, która stanowić może poważne źródło dla historii naszego odrodzenia narodowego w zagłębiu, oraz historii walki naszego górnika z kapitalizmem czeskim i niemieckim. Z pomiędzy jej rządków można się dowiedzieć, jak walka ekonomiczna śląskiego górnika łączyła się organicznie z jego walką narodową i z walką o wpływy w samej organizacji partyjnej, zagrożonej ze stanowiska narodowego przez hegemonję czeską. Przedstawia nam chwile „górne i chmurne“ owych zmagów klasowo-narodowych, samoobronę górnika, dzieje organizacji spółdzielczej. Autor-jubilat, wy-

chowany w twardej szkole życia, sam górnikiem z zawodu, potrafił w sposób prosty a szczerzy ująć dzieje owych walk, a pominąwszy jego zbyt jaskrawe miejscami zaakcentowanie swych przekonań politycznych, oraz chropowaty styl — z czego czcigodny weteran zdaje sobie sprawę, zaznaczając w przedmowie, że „Pamiętnik“ swój pisze twardą i od pracy zmęczoną ręką — pominąwszy te drobne usterki, książkę jego należy powitać z radością, jako nieoceniony przyczynek do historii ostatnich dziesiątek lat życia górnika śląskiego. Pamiętnik ów wyszedł nakładem Stowarzyszenia spożywczego dla robotników i rolników w Stonawie.

G. M.

„Wesele góralskie“, sztuka regionalna, napisana przez Jerzego Probosza.

*„Gronie, nasze gronie,
Śląska wy ozdobo,
wśród was serce płonie,
człęk czuje się sobą.
Wśród was myśl ma leci
do mgławic przeszłości.
gdzie swoboda świeci,
do zorzy przyszłości...“*

Ks. Grim.

W tych słowach pieśni zawarte są myśli przeszłości i przyszłości. Góry były czemś tajemniczym, czemś, co pokrywała mgła, a pod nią ukrywa się jakiś urok, jakaś świętość. Z tej skarbnicy należałoby tylko czerpać pełnemi garściami, lecz przytem trzeba się wczuć w te szmery tajemne ziemi, drzew i potoków, poznać dusze mieszkańców tych ustroni. Czasem odwiedzi „ktoś“ te góry, posłyszysz „coś“ i chwyta za pióro i pisze, pisze, by znievažić ową świętość, wyśmiać wszystko nie ze złośliwości, lecz z nieznamości, bo obcy nigdy nie wczuje się w ową tajemniczą przeszłość, rzeczywistość dzisiejszą, w skarbnicę przyszłości.

Wyczuł duszę ziemi, słyszał płacz jaworów i buków ś. p. Jan Łysek, zro-

zumiał echo odgłosów, wyczuł bóle ks. Grim, reszta jednak nie wczuwała się dotąd w ową świętość.

Tatry, Podhale mają już dziś swych znawców, brak ich natomiast śląskim Beskidom. Świta zorza przyszłości, coraz więcej już dziś wychodzi pracowników z pomiędzy samych górali, ci chwycą kiedyś za pióro i ową tajemniczość, ów urok, ową świętość przeleją na papier dla przyszłości. Góral był długo poniewierany, pogardzany i wyśmiewany przez wszystkich, więc też zamknął się w sobie i wytworzył u siebie wiele oryginalności. Wspomnienia i tradycje, zwyczaje i obyczaje starał się zebrać i ułożyć w wido-wisko regionalne syn gór, Jerzy Probosz z Istebnej, samouk, z ukończoną tylko szkołą ludową, a kształcący się dalej przez czytanie książek. Autor ten, jako chłop-góral, zna duszę ludu, to też jego „Wesele góralskie” jest tak przedstawione, jak ono w rzeczywistości u górali się odbywa. Nie jest to jeszcze arcydzieło, owszem jest to kłoc, pięknie siekierą ociosany, który należy jeszcze kozikiem ogładzić.

Utwór składa się z czterech części. Pierwsza — to „Poznanie”, które zwykle odbyło się przy uroczystościach. Góral na lichej, kamienistej ziemi, po zabraniu mu pastwisk, wyżyć nie mógł, więc setki tychże musiało „góry opuścić dla chleba”. Powracający z dolarami byli poszukiwanymi partjami przez najbogatsze jedy-naczki. Jednak Janek Groniowy wybiera ubogą sierotę.

W ten pierwszy akt wprowadził autor dwa zwyczaje: prządkę i szkubaczki z wielu pieśniami, dziś niestety ginącymi.

Druga część „Snybmy” (zaręczyny) brzmią tradycją i oryginalnością, lecz mało mają rzeczywistości, gdyż małżeństwo było i jest do dziś handlem, spekulacją złączenia dwu bied z możliwością zdobycia warunków na nędzne wyży-wienie.

Trzecia część, „Wywodzenie”, wyka-zuje te zwyczaje, jakie były w rzeczywi-

stości, tylko, że dziś odbywa się już przy instrumentach dętych. Gajdy idą już w zapomnienie, bo nie potrafią „uchwy-cić nuty” dzisiejszej, skażonej naleciało-ściami austriacko-wojskowymi.

Czwarta, „Czepienie”, jest bardzo urozmaicona tańcami i śpiewami, chociaż więcej zakrawa na terażniejszość, niż przeszłość. W niektórych miejscach (n. p. z kubkym i z kucharką) jest trochę prze-sady.

Całość ma bardzo wiele udatnych miejsc, żarty i dowcipy są często oryginalne i rozmieszczone, tańce i śpiewy należałoby lepiej wyćwiczyć, dialekt oczy-ścić z naleciałości, akcję prowadzić tak, jak ona przedstawiała się przed kilkudziesięciu laty, nie wplatać dzisiejszych ze-psuć. Jako pierwsza rzecz młodego jeszcze autora, zasługuje na poparcie.

Wiele mamy jeszcze w górach tematów do utworów regionalnych, „bojtek” (pieśni) jest kilkaset Powodzenie pierw-szej sztuki powinno być dla autora za-chętą do dalszej pracy na swojskiej niwie.

Słyszałem, że autor znowu pracuje nad dwu nowymi utworami, jeden podobno o lnie, drugi o szafasach; przypuszczam więc, że będzie to dalsze zebranie starych pieśni i zwyczajów, radziłbym jednak pracować powoli, należycie rozmyśleć ka-żdą scenę.

Sęk.

Fr. Kulisiewicz: „Historja państwo-wego gimnazjum im. Bolesława Chro-brego w Pszczynie”. W sprawozdaniu gimnazjum w Pszczynie za rok szk. 1929-30 jest umieszczona rozprawa prof. Fr. Kulisiewicza, obejmująca historję tego gimnazjum, opracowana na podstawie programów corocznych zakładu od cza-su jego powstania, jako też innych źródeł historycznych, czerpanych z biblioteki gimnazjalnej. Autor, choć filolog nie-historyk, umiał z tych źródeł wyjąć cha-rakterystyczne momenty z dziejów gim-

nazjum i przedstawić je w sposób interesujący.

Rozprawę tę postanowiłem streścić dla „Zarania“, ponieważ historia gimnazjum pszczyńskiego wiąże się w niejednym wypadku z dziejami Cieszyna, a przytem jest ona ilustracją stosunków, jakie przechodził Śląsk Górny w ciągu dziejów.

Gimnazjum pszczyńskie powstało ze szkoły ewangelickiej, założonej w r. 1742 przez hr. Erdmanna Promnitz, właściciela ziemi pszczyńskiej, kupionej niegdyś od krakowskich Turzów. Już w r. 1709 starał się on o pozwolenie na założenie kościoła ewangelickiego i szkoły w Pszczynie, od ówczesnej władzy austriackiej uzyskał jednak tylko tyle, że mógł przy kościele ewangelickim w Cieszynie utrzymywać pastora dla Pszczyny i wysyłać dzieci do tutejszej szkoły ewangelickiej. Aby zachęcić rodziców do wysyłania dzieci do Cieszyna, udzielał im stypendjów, a tych poddanych, którzy udawali się na nabożeństwo do Cieszyna, uwalniał od 2 dni pańszczyzny. Ten założyciel szkoły ewangelickiej w Pszczynie tytułował się radcą cesarskim i królewski polskim tajnym radcą, kawalerem orderu polskiego „Orła Białego“. Pierwszym opiekunem świeżo założonej szkoły był pastor Machał z Cieszyna, drugi nauczyciel został powołany też z Cieszyna, gdzie był nauczycielem ewangelickiej szkoły żeńskiej. Wogóle nadzór nad szkołą wykonywał pastor zboru polskiego w Cieszynie, później dopiero razem z niemieckim.

W rok po założeniu szkoły okazała się potrzeba założenia osobnej trzeciej klasy dla polskich uczniów, której nauczycielem został Polak. Klasę tę utrzymywał zbór polski.

Założenie klasy polskiej, jako też sprowadzanie nauczycieli z Cieszyna, znających niewątpliwie język polski, było

stwierdzeniem faktu, że większość ludności Pszczyny i okolicy oraz większość dzieci w szkole ewangelickiej była polską. Z tym faktem nie chcieli się jednak liczyć niektórzy kierownicy tej szkoły i nauczyciele. Rozpoczęli oni walkę z językiem polskim w szkole. W następnych latach ograniczono prawa języka polskiego, wprowadzając do nauki religii język niemiecki, a potem zniósł rektor szkoły wogóle język polski w nauce religii. Gdy przeciw temu zaprotestował pastor zboru polskiego, właściciel Pszczyny, którym był wtedy książę Anhalt-Koethen, polecił, aby w kl. III uczono religii trzy razy tygodniowo po polsku, zaś w kl. IV cztery razy w tygodniu. Zarządzenie swoje książę motywował w następujący sposób: „Nic niema bardziej wskazanego nad to, żeby udzielać nauki religii dzieciom w języku, który najlepiej rozumieją, żeby nie tylko uczyły się na pamięć, lecz także pojmowały to, czego się uczą. Jak jednak potrzebnem jest i odpowiada edyktom królewskim, aby się dzieci wszystkie uczyły niemieckiego, tak z drugiej strony życzę sobie, żeby wszystkie dzieci niemieckie uczyły się również polskiego, ponieważ graniczymy z polskimi krajami.“ Z tego autor rozprawy słusznie wnioskuje, że cała szkoła musiała znać język polski, bo dzieci niemieckich nie zmuszalnoby pewnie do uczenia się religii w języku polskim.

Jeszcze w pierwszych dziesiątkach lat 19 wieku utrzymywała się częściowo nauka religii w języku polskim, choć udzielał jej w jednej z klas nauczyciel, który „sam nie umiał po polsku“ i było jeszcze w klasach wyższych „czytanie polskie“, lecz w późniejszych czasach usunięto także te resztki polszczyzny i zapanował niepodzielnie w szkole, przemienionej w r. 1867 na progimnazjum rządowe, a w r. 1872 na pełne gimnazjum państw., język niemiecki. Celem progimnazjum miało wszak być: według oświadczenia

pierwszego jego kierownika: „wzmocnienie germanizacji ziemi pszczyńskiej“.

Nauczyciele, którzy utracili zupełnie język polski ze szkoły, wychowywali młodzież w tym samym duchu, co nauczyciele w niemieckich szkołach cieszyńskich. Młodzież ta zaczęła ludzi, którzy byli znani jako Polacy, obdarzając ich przezwiskami, których się jeszcze teraz używa w Niemczech wobec Polaków, jak to opisuje autor rozprawę na podstawie protokołów gimnazjalnych.

Aż oto przychodzi rok 1920 i grono nauczycielskie gimnazjum pszczyńskiego zaczyna się zastanawiać nad „sprawą nau-

czania języka polskiego w gimnazjum“ i uchwała — „że względu na ważność polskiego języka w przyszłości na Górnym Śląsku w każdym razie musi się znaleźć dla niego miejsce i możliwość nauczania go, jako przedmiotu obowiązkowego“. Niedługo jednak musieli się nauczyciele pszczyńscy trudzić szukaniem miejsca dla polskiego języka. Po plebiscycie i podziale Śląska w r. 1922, przejęły władze polskie zakład z rąk niemieckich i przywróciły szkole ten charakter, który miała — musiała mieć — przy swoim założeniu.

Franc. Popiołek.

MATERJAŁY.

Alojzy Bonczek.

Katastrofa na szybie „Jana“ w Karwinie

(6 marca 1885).

(Wyjątek z pamiętnika p. t. Przyczynek do rozwoju historii górnictwa i ruchu górniczego na Śląsku.)

Brak uświadomienia między górnikami, nieokiełzane lizunstwo, korupcja i szechrajstwa gnieździły się przeważnie na szybach Laryszowych w Karwinie. To wszystko wprowadziło nieporządki na szybach Laryszowych do tego stopnia, że urzędnicy kopalniani wcale nie zjeżdżali do kopalni, albo czynili to rzadko. Brak dozoru ze strony kierujących kopalnią urzędników pozwalał niższym, stygarom i dozorcóm na wszelkiego rodzaju nadużycia. Stygarzy wcale o to nie troszczyli się, kto jest na szybie lub nie, zaniedbując systematycznie zapisy przed rozpoczęciem szycity. Cała ta manipulacja kopalniana spadała przeważnie na barki dozorców, którzy w swych kieszonkowych

notatkach prowadzili ewidencję załogi. Stygarzy albo wcale się nie zjawiali na kopalni, albo też zjeżdżali na dół do zbiorowego miejsca i tam przesiadywali przez cały czas z dozorcami.

W nocnych zmianach nie zjeżdżali wcale do kopalni, bądź spali w domu, albo też w ukryciu w lokalach maszynowych. Naturalnie, że i sami dozorczy wskutek przemęczenia się pracą i ogromną odpowiedzialnością za wszystko, albo nie byli w stanie podołać wszystkiemu, albo wskutek takiej samej lekkomyślności, nie będąc sami przez nikogo dozorowani, zaniedbywali swój obowiązek. Jednemu dozorczy przydzielano do dozorowania i rozdzielania do poszczególnych prac 100 do 150 robotników. Czynność dozorców polegała po największej części na tem, że po zjeździe do kopalni przychodzili na pewne przeznaczone miejsca, bądź pod pochylniami lub na głównym rozdziale chodników do pojedynczych pokładów, tam robotnicy na nich wyczekiwali i następował rozdział roboty i wydawanie potrzebnych narzędzi do przeznaczonych prac. Równocześnie zawiadamiali robotni-

ków, że w razie potrzeby zarządzenia jakiegos z strony dozorczy, należy się tam, albo w owe miejsce udać, gdzie tam się znajdować będą dozorczy. Miejscami dla wysiadywania dozorców były cieplejsze miejsca w starych chodnikach, w których dozorczy swoje kryjówki mieli.

Naturalnie, że każdy może sobie przedstawić, jakie porządki za takiego dozoru mogły być w czołach (przodkach), napełnionych palnemi gazami, gdzie robotnicy dowoli strzelali tak w węglu, jak i w kamiennych pracach.

Zaznaczam, że wtenczas każdy robotnik otrzymywał dla swej potrzeb materjału strzelniczego tyle, ile chciał. Na szybie Jana w IV poziomie prowadził od szybu główny chodnik, tak zwany Querszlag, kilkaset metrów długi, który się kończył tak zwanym „Gesenkem“. Około 30 metrów w górze nad tym „Gesenkem“ był pokład niski około 90 cm do 1.20 m wysoki, ogromnie twardy, jednakże dla kapitalistów bardzo korzystny, gdyż był to jedyny wtenczas pokład nietylko u hrabiego Larysza, lecz w całej Karwinie, albowiem z węgla tego można było koks prażyć.

Wróć jeszcze do owego „Gesenu“, przez który cały fiedrunek z tego pokładu puszczano. „Gesenk“ ten był świadkiem ówczesnej niezdolności panów do prowadzenia kopalni i środkiem do spekulacji, by ciągnąć prędzej korzyści z węgla, niżli sama przyroda na to pozwalała. Zamiast bicia jeszcze jakie 100 albo 150 metrów poziomem głównego chodnika, by pokład dostać lub do niego przebić w tym samym położeniu, co byłoby tak korzystniejszym dla fiedrowania, jak i dostępu powietrza, zastawiono bicie Querszlagu i szukano węgla w górze zapomocą „Gesenu“. Naturalnie, kiedy trafiono na pokład, żadnemu się nie śniło, że wydobywanie węgla z tego pokładu na zawsze będzie utrudnione, lecz jeszcze gorzej było z powietrzem. Pędzenie powietrza w kopalni choćby jak silnemi maszynami na trafia na wielkie

trudności do prac w kopcach położonych, a mianowicie przeciwdziała temu druga część powietrza kopalnianego, które zawsze napełnia wyż położone miejsca. To też wspomniany pokład był prawdziwem piekłem dla górników. Jeżeli zważymy, że jedyny dopływ zdrowego powietrza prowadził przez „Gesenk“, w którym także bez przerwy fiedrowano, to musimy przyznać, że pokład ten był pełny gazów.

W pokładzie pod dozorem dozorczy Swaczyny pracowało razem 120 górników. W czołach, mimo gazów, wszędzie strzelano, a jak sami robotnicy opowiadali, straszliwa to była strzelanina. Przed każdym strzałem zbierali się robotnicy w czoło, brali do ręki odzienie lub fleki (skóra, którą kopacze noszą z tyłu) i w ten sposób robiono przez pewien czas powietrze, a jeden prędko zaprawiał strzał. Kiedy strzał zapalono, dopiero wszyscy z czoła odchodzili. W tem chwilowem, niby czystem powietrzu, miał strzał eksplodować. Naturalnie, była to ogromnie niebezpieczna gra. Że praca w tym pokładzie i dla panów nie była bezpieczną, dowodzi to, że dozorca Swaczyna miał specjalny nakaz z pokładu tego nie wydalać się. W takich warunkach pracy musiało dojść do tego, że z 5. na 6. marca 1885 w nocy około 1. godziny nastąpił straszny wybuch, który zaalarmował mieszkańców Karwiny. Cała załoga pokładu zginęła razem z dozorcą Swaczyną, z wyjątkiem kilku narażaczy, którzy byli blisko wspomnianego „Gesenu“ i zostali ciężko pokaleczeni.

Jak straszliwy i silny był ten wybuch, świadczy ta okoliczność, że do szybu „Henryka“, w którym wychodziły gazy i powietrze zapomocą wentylatora, na dole wyrzuciła siła pełny wózek węgla na 20 metrów w górę, który następnie zawisł na drewnianych lagrach szybu. Zaś na wierzchu nadkrycie szybu (jakie na szybach wiatrowych bywa, a jest to ogromny kocioł wielkości szybu, napełniony wodą, zawieszony na 4 żelaznych słupach, u-

myślnie dla tego, by podczas wybuchu z szybu tylko się to podniosło i znów nazad spadło, by tym sposobem nie zmienić prądu powietrza i górników, w kopalni się znajdujących, nie podusić), zostało gwałtownie wraz z żelaznymi słupami oderwane i około 100 metrów od szybu odrzucone. To było także powodem, że górnicy, którzy nie zginęli od siły wybuchu, zostali uduszeni wskutek braku powietrza.

Przy wydobywaniu potem trupów skonstatowano to najlepiej, gdy znaleziono około 20 górników razem z dozorcą Swacznąą tuż blisko miejsca do „Gesenu“, trzymających chustki, kamizelki, a nawet koszulę w rękę, zapomocą których robili prąd powietrza, by się uratować. Ratunek utrudniała jeszcze ta okoliczność, że wówczas górnicy używali lampek olejowych, których nie można było zaświecić zaraz, więc biedacy ci musieli po ciemku się ratować, jednakże zginęli przez uduszenie się.

Charakterystycznym było po katastrofie to, że panowie nie mieli najmniejszego pojęcia, ilu górników zginęło. Stygar Weiberg, Czech i pijanica, nie wiedział o niczem, bo już kilka dni nie prowadził żadnego zapisu. Dozorca Swaczyna zginął razem z całą załogą, a po znalezieniu jego trupa nie można było jego szychtownej książki odszukać. Suma podanych i wydobytych trupów górniczych nie zgadzała się i żaden urzędnik nie odważyłby się zaprzysiądz, że wszyscy górnicy zostali wydobyć. Świadczy o tem ta okoliczność, że po pewnym dość dłuższym czasie przy przerabianiu załamanych chodników w tym pokładzie znaleziono ciało, a raczej kości ludzkie, które cichaczem w nocy pogrzebano, pomimo, że według pańskiego podania wszystkie trupy miały być pogrzebane na cmentarzu.

Mord ten zostawił po sobie długą pamięć pomiędzy pozostałymi wdowami i sierotami, lecz krótką u Laryszowych urzędników i także u samych, szczególnie

młodszych górników, którzy po katastrofie do pracy wstąpili.

* * *

Za 9 lat nastąpiła na tym szybie druga, większych rozmiarów katastrofa.

Powyższy fragment z pamiętnika górnika i zasłużonego działacza społecznego, Al. Bonczka, podaliśmy z zachowaniem oryginalnej pisowni i stylu. Bliższe szczegóły o autorze podajemy na str. 155. — *Przyp. Red.*

Materjały ludznawcze.

Zebrat nauczyciel Franciszek Niestanik wśród ludu Lipowca w ostatnich latach.

(Ciąg dalszy.)

22. Bydłu zaczarowanemu można przywrócić apetyt, wycierając mu pysk lub żłób znalezionem przy gospodarze powrośsem.

23. Piana, tworząca się na wodzie podczas silnej burzy, służy do okadzania zaczarowanego bydła.

24. Nazbierać suchych patyków na krzyżowej drodze, zapalić je, ogrzać na tym ogniu cegłę. Na rozpaloną cegłę lać mleko i sierpem je sieć. Jest to jeden z dalszych sposobów mszczenia się na czarownicy, czarującej bydło. Odczuwa ona wtedy nieznosne bole. Może je ukoić przez podejście do danego domu i zabranie potajemnie od niego jakiegoś sprzętu, kawałka drzewa lub t. p. rzeczy. Wiedząc o tem, pokrzywdzeni czatują i przeszkadzają jej, odpędzając ją od domu.

25. Gdy prosięta giną, to wskutek zaczarowania. Można się również na takiej czarownicy zemścić i unieszkodliwić ją. Kładzie się w tym celu jedno ze zdechłych prosiąt pod okap na węgle pyszczkiem w górę, tak, by woda kapła wprost w pyszczek. Wtedy i czarownicy woda leje się do ust, a prosięta więcej nie giną.

26. Jeżeli ktoś przypadkowo lub celowo przyniesie kawałek deski z cmentarza, włoży do chlewa, wtedy wszystko bydło, tam się znajdujące, wyginie.

27. Również, gdy wodę, w której kąpano nowonarodzone dziecko po pierwszy raz, wyleje się do chlewa lub pod próg chlewa, wszystko bydło wyginie. (Wiedzą o tem niektóre tylko kobiety, a zdradzają się z tem jedynie przed zaufanymi.)

28. Do strzelby wlać trzy krople mleka od krowy zaczarowanej i wystrzelić w stronę księżycy, albo do maślnicy, ustawionej na granicy sąsiada. Gdy się mierzyło do dolnej części księżycy lub maślnicy, czarownica została zraniona w nogi, gdy zaś do boku — to w ręce lub w bok, gdy we wierzchołek — to w głowę i mogła w ten sposób zostać nawet zabita.

29. Krów nie śmie pasterz bić kijem, odartym z kory, bo wtedy chudną.

30. Banią ós okadzić sztukę bydła, którą się chce dobrze sprzedać, wtedy jest dużo kupców.

31. Gdy się chce mieć dużo śmietany na mleku, trzeba zostawić sobie palec z wisielca. Jak głęboko się go zanurzy w mleku, tak grubo będzie śmietany na tem mleku.

32. Kto jest ospały, musiał w młodości pijać mleko świńskie.

33. Kto zaś chce mieć dużo siły, musi pić mleko kobyle.

34. Aby krowy nie bodły, trzeba je okadzić szańtą.

35. Pozostawić świecę po zmarłym w domu, wtedy złodzieje domu tego nie okradną.

36. Podobny skutek osiągniemy, przechowując na strychu słomę, na której zmarły leżał.

37. Kiedy kamień węgielny przy rozpoczęciu budowy domu poświęcimy, wtedy w tym domu nie straszy.

38. Jeżeli dostanie się do domu w jakikolwiek sposób kość jakiegoś zmarłego z cmentarza, wtedy w tym domu straszy. Można zakończyć te strachy przez poświęcenie domu i wyniesienie tej kości na cmentarz zpowrotem.

39. Kawałek powroza, używanego przez wisielca do powieszenia się, czyni człowieka niewidzialnym przy kradzieży.

40. Gdy gospodzki ma kawałek powroza z wisielca i zamacza go w wodce lub w piwie, wtedy ma wielki zbyt na wódkę lub piwo.

MARZANKA.

(Zwyczaj Wielkiego Postu z wsi Kadłubiec, pow. strzelecki.)

Na dworze słońce już downo zaszło, a na niebie ukołoł się błady miesięczek. Noc była jasnoł, cichoł, bez śpiewu ptołkof, jeno niekiedy pod łoknoma mały chałupy, f której sie skupiała kupka dzieci, wesoło rządzonych, przelazła jakoś żywoł istota. Izba była dość wielkoł, jasnoł, łoświeconoł migającom karbitkom. Na ścianach wisiało kans śfientych łobrołsków. Na łoknie stoły doniczki z rozmaitymi kwiotkami. Pies stoł trocha wycołfnienty na izba, a fkoło niygo siedziało piencioro dzieci już trocha drzymioncych. Zygor już wybioł 9 godzina, gdy do dom przyszoł wysoły łojciec. Matka łobroczyła sie do niygo i pada mu:

— No, Zefliku, kaś to tak dugo bół z roboty, Knebrys i Janta już downo przyszli?

— No, Mariko, czy to nie wiysz, że dzisiok som łostatki i fszyjscy sie cieszoł f szynku? Jo tysz tam jyno łobejzdrzoł, jak tak twojy komratki sie bawioł na babskim combrze. Kiebyś wiedziała, jak łony tego trojołka skołczoł, to mało sie rankof nie powyrywajom.

— Ale dej mi już pokoj s tym combrym, a nie rół mi dopiyo smaku, bo

wiansz wiysz, iż nie mom czasu, jeno siedni teraz, a jydz, bo dzieci już śpiom.

Fszyjcsy siedli do wielkygo stoła. Mamiczka przyniośli polny talyrz krepli i kawy z mlykym. Choć mamiczka jeszcze dłoł bydła rychtowali, łojciec stanół i porzykoł głośno z dziećmi: „Panie Jezu Chryste i t. d.“ Po pociyrzu każdy sie zaprawioł do krepli i chnetki talysz ból prozni.

— Mamiczko! — zawołoł Zeflik — czamuście dzisiok napiykli kreplóf, choć niema niedziely?.

— No bo dzisiok som łostatki, a już sie skojnczył miensopust.

— A kiej łostatki, to łostatki — zawołoł ktosik z koncika.

— Terasi sie zaczynoł post. Jutro jest szczoda popielcowoł, a ta, co przydzie, nazywoł sie pośnoł potem...

Nogle przerwoł mamiczce maluški Franek, co go ledwie ze zymie było widać.

— Taciczku, a kiedy zaś bandziymy łacić z marzankom i tyj złyj Marjanie śpiewać, a kiedy bandzie szmyrgus?

— Ho, ho, ho, to jeszcze musisz dość dugo czekać. Ta niedziela, co teraz przydzie, nazywoł sie pośnoł, potym kośnoł, czornoł, biołoł, marzanoł i Wielkanoc.

Cały post dzieci sie fest nudzyły, bo taticzek nie dali jym tak wyrobiać, mamiczka każdy chnet dzień dawali jym harcynki.

— F szczoda zaprawiony, w piontek wandzony, w sobota słony kładli nom na łobiot mamiczka na stół. Na wieczorzom roz kartofly z kiszkom, a roz kiszka z kartofloma. Nie wiem, jakybyście nom dali, kieby jeszcze wiancej było tygo postu — bronkały sie pod nosym. Przed niedzielom marzannom chopcy z cały wsi sie ześli przed chałupa Franka i poczli coś berać:

— No, prandzy tam robcie, a nie padecie żodnych gupstfof, bo chnetki sie zećmi, a nasz marzan jeszcze nagi.

Na tyn głos fszyjcsy sie porozłazyli. Za chfilka, jak jedyn byli nazot. Franek przynios wiecheć słomy, drugi żyrć. Zeflik przynios fajnoł mycka, inkszy nowoł lilewka z woniaczkom. Potym nastrojyli marzana i złostawyli go w jednyj chałupie, aż do rana. Rano fszyjcsy chopcy sie clecieli, wrzeszcząc:

— Dalej, chopcy, śmierć wynosić ze wsi, dzisiok jest marzana.

Całoł kupa z bajutym sie zbiegła i wezła marzana nosiyła, a przed każdym domym śpiewała napasliwy śpiewki. Tak samo zrobioly dziolchy. Łony zaś łoblykły marzanka w nowoł spodnica, w jedwobnoł jupa, na gowa dały ji fajny wieniec, a do ranki czerwonom tibetka. Ś niom tysz chodziły łod chałupy do chałupy i śpiywały:

Marzanka rosla aze urosła

jak sosna, jak sosna,

Marzanecko, postojmy na chwila,

aze sie gozoleczki napija, napija.

A u tygo Witka jest tam rój, jest tam rój,

Niema tam Jagaty, jeno strój, jeno strój,

A u tygo Blachuta jest tam kluka,

Jest tam ta Marteczka jak suka, jak suka.

A jak już całoł wieś łobeśli chopcy z marzanym i dziolchy z marzankom, śli do przykopy. Tam, jak jom seblykli z łachof, to fciepli jom do wody, wysoło śpiywając. Dzieci poruwały ta słoma i przynosiły jom do dom pod gansi, coby sie kans pilontkof wykluło. Caluški rok dzieci zbiyrały stary łorobiony mietły i szkrobaki, chtórymi potem żur polyli. Było to we wielkoł szczodem, kiedy wszandzie łogniy polyli na pamiontka szukanioł Pana Jezusa. Naszy dzieci sie tysz już łod downa na to rychtowały. Haźbiejta i Franek mieli już z pół szopy charpańcioł. Marika jym tysz pomogała zbiyrać. Nołstarszy, bardzo szumny i gryfny synek, chtóry już mógł mieć łosmynofście lot, mioł narychtowany sztyry fakly, napuszony smołom. Na dworze sie już ze-

ćmiło. Na polach fszendzie migotały łogniy. W Kadubcu było poľno kurzu, że jedyń nie mógł poznać drugiego, co kole niygo stoł. Chopcy z cały wsi przynosiłi wszystkiy swojy klamory i położyli jy na wielkoł kupa, może z dwa metry wysokoł i jom podpolyli. Fszyjscy byli bardzo wysoli i śpiywali byle jakie śpiywki. Drudzy skokali bez łogień, abo inksi zapolyli se swojy miety i łotali po cały łonce. Co chfila było słyhać, jak chtoś zawrzesknół: „Zur pola, buchty chwola“ i t. d. Gdy sie już calutki stos spolył, wszyscy pomału sie stracyli, bo już było nieskoro. We Wielki Czwortek we wieczór na pamiontka wycioł nogof dzieci myjom łojcom nogi. Cały popołedniu dzieci czekały, aż taticzek włazom i pozątki sie wadziły, chto bandzie nołprzód napoczynoł. Mamiczka niy mogli sie już tymu dużyj przysuchować i padali, że łod nołmodszygo bandom myć. Tak jym przeszło dugiy czakaniy. Ło pól siódmy przyszół łojciec z roboty. Dzieci, bardzo ucieszone, myły po porzondku mamiczce i taticzkowi nogi. Marika i Haźbiyta jeno medykowała, jak sie tam ty piyniondzy dostały do misy po umyciu nogóľ. Cały czas zagłondały, czy Pon Jezus przyjdzie i łon tam ty groszy fciepnie do wody. Starszy wiedziały, że to taticzek bez nołgawica spuśiyli do misy. Po wieczery łojciec pośtoł fwszystkich fczas spać, coby rano fczas tysz stały. Rano przed schoďym słońca dzieci już były i szły po cichu do rzyki. Po umyciu czy wielki, czy tysz mały musioł klęknóć kole wody i zerzykać s łojczynasz i s zdrowaś. Potym pośtali ich do kościoła na łobrzędy. Ło pól dziesiątej dzieci przyszły nazod jakieś nieswojskie. Franek, łodważniejszy, spytoł sie mamiczki, czamu dzisiok żoľdny zwony nie zwońiom, jeno ministranty łazom z klapaczkoma. Mamiczka mu na to pada:

— No widzisz, dzisiok f kościele mamy wielki żoľ, bo Pon Jezus umar na krzyżu. A ty zwony, to poszły do Rzymu

do łojca św. na spowiydź. Łodważni chopcy idom dzisiok na wierzom i bierom ta szmiyra z łosi, na chtëry sie zwony kolybiom. Potym szmarujom lufy łod flinty, bo jak rzondzom, kaźdygo zajonca zastrzelom. A ty tam nie pódziesz?

— O ni, jol nie taki gupi, niech ci starsi idom.

Po poľedniu mamiczka łoblykli dzieci w nowy kledy i pośli z niymi do kościoła Pon Bóczka pocałować. Z kościoła fszyjscy szli bardzo uradowani do domu, bo kaźdy mioł pełnoł tyta maszketów.

Tekst ułożyła, napisała i objaśniła *Nowakówna Elżbieta*, ucz. kl. VI Miejsk. Gimnazjum Żeńsk. w Król. Hucie.

SŁOWNIK.

bajutem = hałasem;
babski comber — zabawa taneczna;
bronkać = mruczeć;
charpajncie = chróst;
fakły = pochodnie;
jupa, y = bluzka;
szmyrgus = śmiguś;
tyta, ty = torebka;
wiansz = przecież;

Materiały ludznawcze.

Zebrala Ernestyna Świbówna wśród ludu w Brennej w ostatnich latach.

(Dokończenie.)

Chłopak starał się dziewczynie wziąć z warkocza kilka włosów. Włożył je w nawiasie w drzwiach i poruszał kilkakrotnie, dziewczyna czasem sama przyłeciała do niego nawet podczas ulewy i błyskawicy, nie bała się, a innym razem nawet do sieni sama iść nie chciała, była bojaźliwa.

Dlatego to w dawnych czasach dziewczęta nosiły włosy zaplecione „zplotką“

(wąską wstążeczką, do której przymocowały „bandle“ (szeroką, wstążkę) aż na sam koniuszek, żeby chłopak nie mógł jej włosów ukraść.

Mężatki chowały włosy pod czepek („czepiec“), żeby inny mężczyzna jej nie zaczarował.

Mężczyźni, będąc jeszcze kawalerami, wykrecili spoconą chusteczkę do piwa lub wódki i dali pić swej ulubionej.

Gdy go lubiła, nie zważała na czary i piła z nim z jednej szklanki lub flaszki.

Gdy się jej chłopak nie podobał, nie chciała pić pierwsza, on naturalnie wahał się pić pierwsz, bo w sam swe czary wypił, a chciał przecież ją obczarować i nastąpiła kłótnia. Gdy się ta dziewczyna z innym bawiła, nastąpiła bijatyka.

Abv mężczyznę odzwyczaić od picia alkoholu, trzeba prawdziwy diament opłukać w wodzie i dać mu wypić, to przestanie.

Gdy kura wyleci na furę lub inny wóz, wróży to na nieszczęście i lepiej nie jechać nigdzie.

W Zielone Świątki wróżą sobie dziewczęta w następujący sposób:

Bierze okrągłe naczynie z zimną, świeżą wodą, obróci się ku wschodowi słońca, potem weźmie do każdej ręki igłę, ale nową, daje imiona, jednej swoje a drugiej swego ulubionego, wpuszcza je wraz do wody i jeżeli się igły zejda we wodzie, to się pobiorą.

W Boże Ciało poszły dziewczęta na łąkę, gdzie się znajdowała wysoka trawa i urwała każda po sześć źdźbeł trawy, bo można tylko sześć świętych sakramentów przyjmować.

Wszystkie źdźbła wzięły do lewej ręki, a prawą wiązały zawsze dwa źdźbła razem. Robiły to ze zamkniętymi oczyma.

Zawiazywały najpierw u dołu a potem u góry, robiły zatem sześć węzłów. Musiały sobie przy wiązaniu wypowiedzieć jakieś życzenie.

Udało im się zrobić jeden łańcuch, wróżyło to na spełnienie życzenia.

Jeżeli udało im się zrobić trzy koła, wplecione jedno w drugie, wróżyło też dobrze.

Jeżeli zawiązały każdy z osobna, życzenie nie spełniło się.

Jeżeli dziewczyna zasadziła w doniczce za oknem „rute“, miała napewno w tym roku wielbiciela.

Siały także marjonek i mówiły: „Marjonku, ja cię sieję, a gdy się zazielenisz, to też ty N. N. ze mną się ożenisz.“

Mówiła to trzy razy codziennie, rano i wieczór. Właściwie dnia następnego już nie mówiły: „Marjonku, ja cię sieję“, tylko te słowa: „Gdy się zazielenisz“ i t. d.

Gdy gospodyni zauważyła brak mleka u krów i chciała się dowiedzieć, kto jej poczarował, urwała dwie pokrzywy, włożyła do sita, potem położyła powążkę (to jest białe płótno, przez które mleko cedzą) na pokrzywy i cedziła mleko w ten sposób rano, w południe i wieczór.

(Pokrzywy musiały być splukane najpierw wodą.)

Tego samego dnia miała chałupę zamkniętą, nikogo nie przyjmowała, ani nikomu nic nie sprzedawała, ani pożyczyla, ani darowała.

Do powążki wepchnęła kilka szpilek i gotowała ją powoli.

Osoba, która czarowała, przyjdzie aż pod okno z wielkiem narzekaniem i prośbą o pomoc, że ją wszędzie kłuje.

Gdy się chcieli dowiedzieć o złodzieju, albo czy ta osoba żyje i t. d., przeczytali najpierw ewangelję św. Jana: „Na początku było Słowo“, potem wzięli klucz od głównych drzwi domu, w którym już ktoś umarł, przymocowali taki klucz do książki, w której się znajdowała ewangelja św. Jana; dwie osoby podtrzymawały ten klucz jednym, wskazującym palcem prawej ręki i miały jedno i to samo życzenie.

Czekali 15 minut; jeżeli się książka nie poruszała, musiały odpocząć, a po kilku minutach zapytać się, „czy N. N. wziął mi tę rzecz?”

Jeżeli odgadli, wtenczas książka zaczęła się bardzo ruszać.

Wrócono także z przetakiem i nożycami.

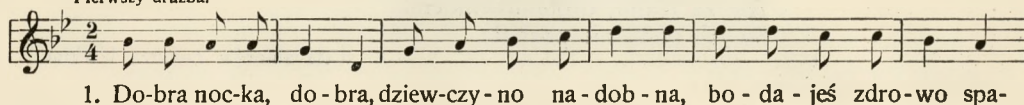
Nożyce wpchnęli do przetaka i trzymali, tak samo jak klucz i pytali się tak samo, jak powyżej napisano.

Gdy odgadnięto, poruszył się przetak. Gdy złodziej dowiedział się, iż będą w tym domu wróżyli, przed czasem skradzioną rzecz podrzucił, albo przyniósł osobiście.

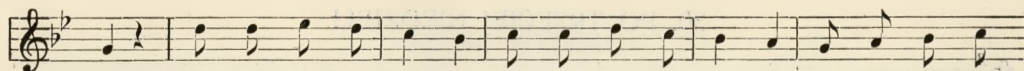
PIEŚNI ŚLĄSKIE.

29. PIEŚŃ WESELNA.

Pierwszy drużba.

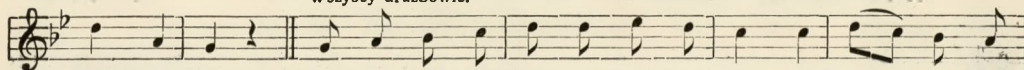


1. Do-bra noc-ka, do-bra, dziew-czy-no na-dob-na, bo-da-jeś zdro-wo spa-

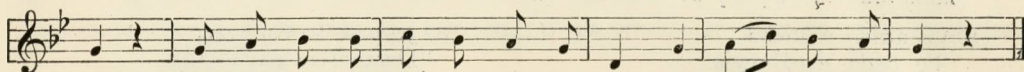


ła. Oj, wy-bra-łaś so-bie we trzech pa-cho-li kach, ja-kie-goś sa-

Wszyscy drużbowie.



ma chcia-ła. A czy my to pa-ni mat-ko nie lu-dzie, nie lu-



dzie? Że to do nas twa có-recz-ka nie wyj-dzie, nie wyj-dzie.

2. Drugi drużba:

Dobra nocka, dobra,
Dziewczyno nadobna,
Podchodząc pod twe wrota,
A wynijdźże do nas,
A przywitajże nas,
Bo bije na nas psota.

(Wszyscy jak wyżej: A czy my...)

3. Trzeci drużba:

Dobra nocka, dobra,
Dziewczyno nadobna,
Podchodząc pod twe okna,

A wynijdźże do nas,
A przywitajże nas,
Bo suknia na nas zmokła.
(A czy my...)

4. Czwarty drużba:

Dobra nocka, dobra,
Dziewczyno nadobna,
Podchodząc pod twe progi,
A wynijdźże do nas,
A przywitajże nas,
Chociażem ja ubogi.
(A czy my...)

OJ, ROZSYPUJ SIĘ...

Druchny odpowiadają (chórem).



1. Oj, roz-sy - puj się, drob - na ru - tecz - ko, po tym ci - so - wym sto - le.



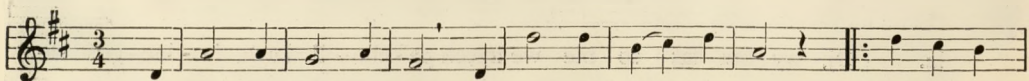
A wy-nijdź, wy-nijdź, mło - da dzie-wecz-ko, przy-wi - tać go - ście swo - je!

2. *Druchny:*

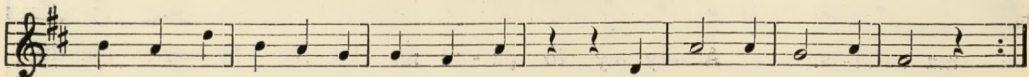
Dzieweczka młoda, jako jagoda,
 Z za stoła wybieżała,
 Ale za łzami, drobnusieńkami,
 Swych gości nie poznała.

Ze zbiorów Łukasza Wallisa.

30. PO TRZECIEJ NIEDZIELI.



1. Po trze-ciej nie-dzie-li bę - dę mieć we - se - li, bę - dą se



mnie bra - li, bę - dą se mnie bra - li

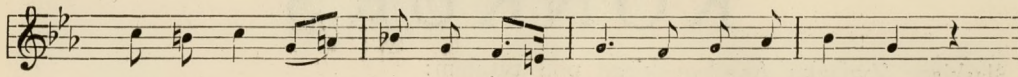
z nie - bie-siech a - nie - li.

2. Ci anieli z nieba,
 To będą družbowie.
 [: Księżdowe rączyczki, :]
 To będą družyczki.
3. Ten wiślański rechrór,
 To jest mój starosta,
 [: On mnie wyprowadzi :]
 Z mojego domostwa.
4. Te wiślańskie dzwony,
 To jest ma muzyka.
 [: One mi będą grać, :]
 Ja będę w trumnie spać.

5. Jeszcze se rozkożę,
 Dwanaście pachotków,
 [: Aby mnie zanieśli, :]
 Na marach na kierchów.
6. Jeszcze se rozkożę
 Dwanaście dziewczeczek,
 [: Aby mi świeciły, :]
 Aż po mój gróbeczek.
7. Jeszcze se rozkożę
 Swojemu miłemu.
 [: Aby za sześć tydni, :]
 Obroł se zaś inną.

Ze zbiorów E Chroboczka, kier. szkoły w Wiśle Małej.

31. MOGLIŚCIE MIE...



1. Móg-li - ście mnie ma-mul - ko, hru - bym ki - jem bi - jać,



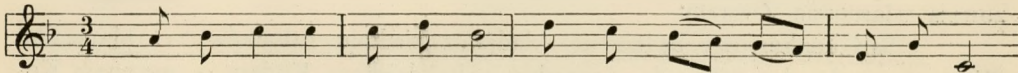
nie był-bych się na - u - czył go - rzo - łecz - ki pi - jać.

2. Aleście mnie, mamulko, cienkim kijem bili,
Pił ja kworta za kwortom, a wyście płacili.
3. Boście wy se też radzi gorzołki wypili,
Mnie, waszemu synowi, jeszcze ją chwolili.
4. Nie chwolcie mi, mamulko, gorzołeczki pijać,
Bobyh musiał po nocach z chacharami lygać.

Ze zbiorów Łukasza Wallisa

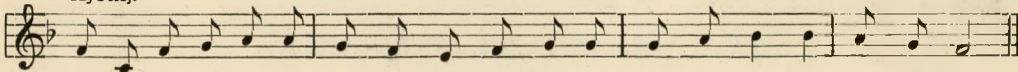
32. NA POTOKU...

Umiarkowanie.



1. Na po - to - ku mo - dry bez, przyjdź, sy - necz - ku, kie - dy chcesz;

Szybciej.



rom-taj, rom-taj, ti - na, rom - taj, rom - taj, ti - na, przyjdź, sy - necz - ku, kie - dy chcesz.

- | | |
|---|---|
| <ol style="list-style-type: none"> 2. Jęny nie przyjdź w sobotę,
bo mom pilną robotę;
romtaj... bo mom pilną robotę. 3. Przyjdź, syneczku, w niedzielę,
łóżko ci się rozściele;
romtaj... łóżko ci się rozściele. 4. Za dwierzami stoi gnot,
połóż se tam twój kabot;
romtaj... połóż se tam twój kabot. | <ol style="list-style-type: none"> 5. A tam wyżej klineczek,
zawieś se tam kłobuczek;
romtaj... zawieś se tam kłobuczek. 6. Jeszcze wyżej łóžeczko,
połóż se tam serduszek;
romtaj... połóż se tam serduszek. |
|---|---|

Śpiewała Anna Uszczymakówna w Ustroniu w r. 1900.
Zanotował E. Chroboczek, kier. szkoły w Wiśle Małej.

KONKURS

Śląskiego Związku Akademickiego pod tytułem:

Rola inteligencji polskiej w dziejach odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku.

W dziejach odrodzenia narodowego polskiego ludu górnośląskiego odegrała inteligencja polska, zarówno rodzima, górnośląska, jak i pozaśląska, rolę niepoślednią.

Śląski Związek Akademicki, chcąc działalność narodową tej inteligencji utrwalić w osobnem opracowaniu, ogłasza niniejszem konkurs na pracę pod tytułem: *Rola inteligencji polskiej w dziejach odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku*, wyznaczając dwie nagrody w kwotach 3000 i 1500 złotych za dwa najlepsze opracowania tego tematu.

Prace, przepisane na maszynie, winne być nadesłane do 1 marca 1931 r. do sekretarjatu Śląskiego Związku Akademickiego, Katowice, ul. Stawowa 10, II, w zapieczętowanych kopertach, opatrzonych godłem. Oprócz tego winna być dołączona koperta zapieczętowana, zawierająca nazwisko autora. Prace nagrodzone zostają własnością Związku.

Sąd konkursowy będzie się składał z siedmiu członków: 1. Marszałka Wolnego, 2. ks. kanonika dr. Szramka, 3. ks. dziekana Kudery, 4. mecenasa Kobylńskiego, 5. mecenasa Mildnera, preza Śl. Związku Akademickiego, 6. bibliotekarza Konstantego Prusa i 7. dyrektora Piotra Pampucha.

ZA ŚLĄSKI ZWIĄZEK AKADEMICKI:

(—) Jan Mildner.

Komunikaty Redakcji i Administr. „Zarania Śląskiego“.

Z powodu braku miejsca w zeszycie 3 odłożyliśmy artykuły, nadesłane po 10 września, do zeszytu 4.

Redakcja „Zarania Śląskiego“ zawiadamia, że począwszy od następnego numeru nie będzie umieszczała żadnych poezyj, niezwiązanych z życiem ludu śląskiego.

Nadesłano do Redakcji: *Klemens Matusiak: Walki o Ziemię Cieszyńską w latach 1914—1920*. Pamiętniki. 1930. Nakładem własnym. — Cena egz. brosz. 3.50 zł, z przesyłką pocztową 4 zł, w płótnie 4.80 zł, z przesyłką pocztową 5.30 zł. Recenzję tej książki zamieścimy w zeszycie 4-tym.



Administracja „Zarania“ prosi gorąco
zalegających z prenumeratą P. T.
: : Abonentów o wpłacenie tejże : :

4078

1430/3L

Pracownia Śląska